

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 6-13 kwietnia 1947 r.

Nr 14-15 (93-94)

Władysław Blachut

Przed pół wiekiem

Gdy dziś przerzucą się poźółkle od starości karty czasopism ludowych z drugiej połowy XIX w., z okresu, kiedy większość chłopów tkwiła w analfabetyzmie i społecznym oraz gospodarczym zacofaniu, uderza w nich każdego świadomość sytuacji, odwaga i jasność sformułowań poglądów na sprawy chłopskie, a przede wszystkim wyraźnie podkreślona walka o lepsze jutro wsi i — co ważniejsze — walka o Polskę ludową.

Z okazji 50-lecia ruchu ludowego wzięłem m. in. w ręce wielkanocny numer (7) „Wieńca Polskiego” z kwietnia 1897, rok wydawnictwa XXIII (!), organu Stronnictwa Chrześc.-Ludowego ks. Stojałowskiego i oto w artykule wstępnym pt. „Alleluja” czytam co następuje:

„Kochani i drodzy Bracia! Dzięki pomocy Boga, bez którego woli nawet włos człowieka z głowy nie spadnie, dzięki pracy i dobrej woli ludu, który zrozumiał swój własny interes, sprawa polska ludowa odniosła wielki triumf, pierwsze walne zwycięstwo przy wyborach do Rady Państwa...”

„Praca też była nielada, ciężka i wielka, ale Bóg dopomógł i pomimo tysięcy wrogich ludowi żywiołów, pomimo stronnicych starostów, marszałków i komisarzy, pomimo mnóstwa niechętnych ludowi księży, pomimo żandarmów i szpiegów... zwyciężył lud i wola jego...”

„Nie chcąc gwałcić woli waszej, nie wstąpił do stańczykowskiego Koła polskiego, ale własne w parlamencie zawiązałyśmy Koło, prawdziwie polskie, chrześcijańskie, ludowe. Nie mogliśmy iść razem z tymi, co przy ostatnich wyborach ręce swoje krwią ludu zbrocili; nie mogliśmy łączyć się z tymi, którzy jedynie swój interes mając na oku, zaprzeczali sprawę ludu, którzy nie pomni na straszną nędzę ludu, jako lokaje każdego rządu, rządowi tylko służyli i służą, nie mając nigdy odwagi temuż rządowi powiedzieć, że źle się dzieje w Galicji i na Śląsku, że lud niezadowolony, że nędza tak strasznie czasem doskwiera, iż kawalka powszedniego chleba nie ma w chałupie. Że niezmiernie niesprawiedliwie rozłożone podatki każą płacić ludowi, a nikt nie zapyta, skąd wziąć, że pracy ludzimi brak, że 2.000 gmin w Galicji nie ma dotąd szkoły... że lud prześladowany przez duchownych i świeckich urzędników i nastawników, którzy z pracy ludu żyją — już ledwie dyszą...”

A oto co na podobny temat drukuje w tymże 1897 r. bratnia „Pszczółka” w nrze wielkanocnym (8) w liście otwartym pośła dra Michała Danieluka:

„Do moich wyborców!
Powróciwszy z Wiednia do kraju, dowiedziałem się od ludzi zupełnie na wiare zasługujących, że niektóre władze nasze prześladować zaczęły wyborców, a w szczególności swoich podwładnych i spisywać z nimi protokół, podejrzewając ich, że nie głosowali na kandydatów miłych rządowi, lecz, że oddawali swe głosy kandydatom, do których mieli zaufanie, których im rozum i serce wskazywały. Niektórym nawet karami grozić zaczęli c. k. urzędnicy, rzekomo za to, że agitowali za kandydatami ludowymi. Jest to nadużycie i gwałt nie do darowania. Dopóki ja waszym będę posłem, takie występki i łotrystwo z całą stanowczością będę piętnował, w należytych świetle przedstawiać i to w odpowiednim miejscu, to jest w Wiedniu, przed oczyma centralnego rządu i przed całym parlamentem. Urzędnik jest na to, aby tropił łotrów i złodziei, a nie by utrudniał i tak już nędzne życie biednego ludu...”

Jakże wyraziście na kanwie tych głosów rysuje się ówczesne życie chłopskie w Galicji. Oto wieś, ta wieś gnębiona przez „starostów, marszałków i komisarzy...”, którzy jedynie swój interes mając na oku, zaprzeczali sprawę ludu, sama podejmuje walkę o prawa i sprawiedliwość dla ludu, o szkołę dla wsi, o pracę dla chłopca. Ta wieś już nie daje się zastraszyć rządowymi metodami walki, które



jakże przypominają stosunki z okresu sanacyjnego, lecz głośno woła, że „urzędnik jest nie na to, aby ludziom dokuczał, aby ich prześladował, ale na to, aby tropił łotrów i złodziei, a nie by utrudniał i tak już nędzne życie biednego ludu w Galicji”.

O tym, że w swej walce o lepsze jutro chłop natrafiał na poważne opory w swoim najbliższym, chłopskim otoczeniu, świadczy najlepiej „Echo z Galicji o wójtach”, zamieszczone w cytowanym wyżej nrze (7) „Wieńca Polskiego” z 1897 r. Oto co pisze na ten temat anonimowy autor:

„Większa część wójtów i zwierzchności gminnej jest nieudolna z braku oświaty i świadomości praw swoich. Skargi te dadzą się podzielić na kilka rodzajów. W niektórych wsiach wójtowie... są bardzo skłonni do zbyt-niego przyjaźnienia się z „panami”, bo też i siebie samych mają za coś lepszego i wyższego nad „gminne pospólstwo”...

W innych miejscowościach zwierzchności gminne składają się z samych t.zw. „bogaczy” — a często z członków poblisko z sobą spokrewnionych, tak że w gminie rządzi „familla”...

Trzeci rodzaj zwierzchności gminnych i wójtów to ludzie tacy, co pisać, a czasem ani czytać nie umieją, a przy których

trzęsie i rządzi całą gminą pisarz... czasem trudniący się głównie wyzyskiem ludzkiej ciemnoty. Oprócz tego o wszystkich wójtach w Galicji to powiedzieć można, że nie bronią dostatecznie swojej godności i niezawisłości wobec starostów i marszałków, ale poczytują sobie za podległych im urzędników. Stąd pochodzi to, iż gdy przychodzą sprawy ważniejsze, jak np. wybory poselskie, to niemal wszyscy wójtowie nie bronią ludu, lecz owszem występują się starostom i stańczykom...”

Prasa ludowa stosunki te poddaje na swoich łamach ostrej i bezwzględnej krytyce a działacze chłopscy z całą świadomością, konsekwentnie i z chłopskim uporem dążą do zmiany tych stosunków. Dlatego stają się przedmiotem zacieklej ataków stańczyków, nie przebiegających w środkach i metodach walki. Takiego np. ks. Stojałowskiego pomawia się o wszelkie przestępstwa, nie szczędząc mu zarzutów, że jest moskalofilem. Skąd ten ostatni zarzut?

Oto ścigany przez los i zawiść ludzką księżyna był już wówczas szermierzem zbliżenia wszystkich Słowian w obronie przed zalewem germanizmu i w swoich odważnych pismach dawał temu wyraz.

Ministerstwo Kultury i Sztuki

przyznało subwencje w wysokości 5.000. zł miesięcznie następującym pisarzom chłopskim:

- Piotrowi Wyrobkowi
- Piotrowi Stopczykowi
- Maciejowi Czule
- Józefowi Kapuścińskiemu
- Stefanowi Gębali

Dla wymienionych pisarzy regularne wykształcenie skończyło się na kilku klasach szkoły ludowej. Reszta osiągała jako somoucy i działacze.

Młodość 70-letniego dziś P. Wyrobka przypada na okres sławnej „nędzy galicyjskiej” i początków Ruchu Ludowego. Młodość 70-letniego dziś Piotra Stopczyka przypada na przelomowy okres rozwoju przemysłu w „Kongresówce”, kiedy Gajeroskie maszyny wypierają z Łodzi tkaczy — rękodzielników, kiedy „Zaranie” w Ruch Ludowy wciąga młode pokolenie.

Młodość Macieja Czule — to drugi okres galicyjskiego Ruchu Ludowego (walki Witośa ze Stapińskim). Młodość Józefa Kapuścińskiego to lata wojny światowej. Młodość Gębali — to lata wyzwolenia się mło-

dzieży wiejskiej od patronactwa sanacyjno-ziemiańskiego.

Wszyscy ci pisarze bądź na skutek wieku, bądź choroby znajdują się w ciężkim położeniu materialnym.

Redakcja tyg. „Wieś” występując do Ministerstwa Kultury i Sztuki z wnioskiem o subwencje dla wymienionych pisarzy pragnęła również przez udzielenie im pomocy materialnej uczcić tę drogę pisarstwa chłopskiego, na które do niedawna skazana była cała prawie wieś, a dziś jeszcze tam wszędzie, gdzie nędza, brak instytucji społecznych, zapóźnienie gospodarcze i kulturalne nie pozwalają utalentowanym wydobyć się poza granice twórczości — jak się to mówi — „samorodnego”, „nieuczzonego”, „ludowego”.

I tak w cytowanym już wyżej nrze wielkanocnej „Pszczółki” pisze na ten nie-wdzięczny wówczas temat:

„Jeżeli my Polacy, dążymy do wolności i wyzwolenia ludu... to jakżeby to być mogło, abyśmy nie mieli tego samego dobra życzyć Braciom naszym Rusinom?... Jeżeli sprawa ruska uważać będziemy ze stanowiska narodowego to tem bardziej musimy pragnąć, aby lud ruski przestał być niewolnikiem „polskiego szlachcica”, a zajął to miejsce, jakie się mu należy wedle praw przyrodzonych, od Boga danych, a także wedle praw historycznych... Nasze tedy stronnictwo chrześcijańsko-ludowe stojąc na fundamencie sprawiedliwości, od dawna uznawało prawa narodowe Braci Rusinów i starało się o zachowanie braterskiej zgody w polityce... i obronę praw narodowych ludu ruskiego z obroną praw polskiego ludu za cel swoich prac i dążeń sta-wia...”

„Ale — rzecz charakterystyczna — nie tylko o swoje prawa zabiegał ówczesny uświadomiony działacz chłopski. Podniósł on również głos protestu w sprawach robotniczych, o czym świadczy najlepiej zamieszczony w omawianym nrze „Pszczółki” artykuł pt. „Ile zarabia na górniku kapitalista?”

„Wedle kartki płatniczej jednego górnika z kopalni czeskiej dostawał tenże mies. płacę w ilości 45 zł 89 ct. a to za następujące roboty: za 100 wozów węgla dobrego-po 14 centnarów, od wozu po 27 ct. razem 27 złr. za 92 wozów po 14 ctr. gorszego węgla po 17 ct. czyni 15 złr 64 ct., za 4 metry kubiczne podpór bocznych od metra po 75 ct. czyni 3 złr 25 ct. razem tedy. jak wyżej 45 złr. 89 ct. Tyle robotnik... A co bierze zarząd kopalni za ten węgiel? Wóz lepszego węgla płaci się 4 złr, a więc zarząd to czyni 400 złr — jeden wóz lichszego węgla płaci się w kopalni 1 złr 50 ct. to wynosi za 92 woz 153 złr razem 553 złr. Odciągnawszy płacę robotnika 45 złr 89 ct. zostanie 500 złr 11 ct. Odrzuciwszy jeszcze koszt zarządu itp., które przeciętnie obliczono na osobę miesięcznie 25 złr 37 ct. pozostaje dla kapitalisty zysk na jednym górniku miesięcznie 481 złr 74 ct.!”

Cyfrы, jak z tego widzimy, już wówczas miały swoją wymowę a walka o sprawiedliwy rozdział dochodu społecznego rozpoczęła się.

Mija kilka lat. Walka chłopów o lepsze jutro nie ustaje. Wprost przeciwnie: pojawiają się nowe problemy a przede wszystkim na łamach ludowej prasy polskiej wyraźnie krystalizują się dążenia wyzwolenie Narodu, podnoszą się głosy o Polskę, wolną i niepodległą.

I tak na łamach wielkanocnego nr (14) „Przyjaciela Ludu” z 1904 r., organu „Polskiego Stronnictwa Ludowego” w artykule wstępnym czytamy:

„Dożyliśmy dnia, w którym lud, idąc za słowami duchowego swego Wodza pragnie „poczuć swoją siłę”, by tym śmiało dobijać się zwycięstwa. ...Musi się zbliżyć widać już ten czas, kiedy z pod grobowego kamienia w on trzeci dzień powstanie z martwych Ojczyzna nasza umęczona, a z nią Prawda i Sprawiedliwość.”

„Z każdym rokiem, w każdym tem świętem wiosennym zbliża się do nas ta Wiosna ludów, zwycięstwo idei Prawdy i Sprawiedliwości...”

Czyż nie uderza w tym artykule pełnia świadomości politycznej polskiego chłopca, jego — w okresie stańczykowskich adresów do Tronu — śmiałe wołanie o Polskę ludową, która „obludne i przewrotne syny swoje odrzuci od siebie precz, a chwałę wiekiustą zgotuje maluczkiemu i zapomnianym”...

Oczekuje tego dnia świadomy aktywny chłopca i na wszystkich odcinkach wiejskiego życia czyni na to święto przygotowania.

Oto w tymże n-rze organu Stapińskiego Wł. Wąsowicz w artykule pt. „Młody do młodych” pisze:

„...My się uświadamiamy politycznie, zapelniamy te braki w wiedzy praktycznej, której nam szkoła nie dała, uczymy się o prawach, które nam przysługują obywatelom, przysługiwac niedługo będą, aby nam kiedyś, jak teraz niejednemu z ojców naszych, nie był póżbogiem lada jaki pachotek z urzędu... A jeśli w tej robocie co do niedalekiego nas życia obywatelskiego przygotowywać będzie spotkamy się nawet we wsi własnej z uprzedzeniami i przedrzwianiami nie dajmy się niczem zrazić... Z głupich sobie nic nie robimy, i jedni i drudzy przejrza, jeśli ich oczy kiedyś ujrzą pełne życie w gminie, które sobie młodzi już za młodu przysposobili...”

Co za siła wiary w tej odezwie! Jakie wyczucie konieczności uświadamiania politycznego młodej wsi, tych przyszłych obywateli niedługo powstać mającej Ojczyzny! Włóć ta już zaczyna myśleć kategoriami ekonomicznymi. Oto w tym samym n-rze „Przyjaciela Ludu”, do dziś żyjący i pisujący Jan Sobek z Handzlówki pisze na temat „Potrzeba Towarzystw” co następuje:

„U nas w Państwie Konstytucyjnym wolno się zgromadzać i stowarzyszenia zakładać a tak obojętni na to jesteśmy, gdy w Królestwie Polskiem brak braciom tej wolności, a oni mimo to na polu ekonomicznym przewyższają nas... Jeżeli więc w polityce umiemy się bronić (przed panami, dop. mój) brońmy się w ekonomii. Kiedy wyższe stany rece opuszczają, to na nas chłopów kotel brać się do dzieła...”

Te słowa nie wymagają komentarzy, świadczą jedynie, że chłop polski sam, wbrew woli „panów” dźwigał się wyżej...

Ale krótki przegląd wielkanocnej prasy ludowej sprzed lat 50 byłby niekompletny, gdybyśmy nie zapoznali się pokrótce z poglądami największego pisarza - publicysty polityka z tych czasów tj. Jakuba Bojki z Gręboszowa.

W dodatku (jakby literackim) do nru 14 „Przyjaciela Ludu” z dnia 4 kwietnia 1904 roku pisze ten wnikliwy, pełen temperamentu autor w artykule pt. „Dwie dusze” co następuje:

„Widząc, że nie tylko przed stu laty kiej-sko panowie rządili krajem, skorocemy teraz

w niewoli, ale potomkowie tychże dziś sami swoim majątkiem licho gospodarza i wielu z nich żyje bez jutra, wiedząc, że chcą jedynie sami kierować nawa polityczną państwa, kraju i powiatów, coż dziwnego, że ludowcy muszą ich smagać czasami i brać krzesła po-selskie i inne, które im się z prawa należa... A gdybyśmy widzieli, że stan duchowny ma tę cywilną odwagę powiedzieć im w oczy słowa prawdy! He! he! tobyśmy błagali tych że, aby nam i w polityce byli przewodnikami! Ale widzimy u nich zachowanie się strusie i pańszczyźnianie wobec nich... widzimy, że skakają koło panów na paluszkach i podkadzają im... Panowie uśmiechają się ieno za węgielkiem i mówią nam: „A dyc to przecież nie szlachta, ale to chłopscy synowie wam to robią... Straszny to dla chłopskiego serca policzek...”

Ten Chłopski Skarga porusza tu, jak widzimy, stare a kapitalne zagadnienia: odpowiedzialność szlachty za upadek Polski, uległość księży, nawet tych co spod chłopskiej wyszli strzechy, wobec dworu i chłop-skie prawa do kierowania nawą polityczną Państwa. Czyni to w sposób spokojny, literacki, choć równocześnie w prozie jego przebija na każdym kroku nuta gry-

zącej ironii. On pierwszy wreszcie zwraca uwagę na powszechną prawie zdradę chłopskich interesów przez zapominających o swym chłopskim pochodzeniu księ-ży...

Kończąc ten krótki przegląd pracy chłopskiej sprzed lat 50 jeszcze raz pragnę podkreślić zdecydowane i wyraźne stawianie sprawy polskiej w tej chłopskiej publicystyce w przeciwieństwie do lojalizmu szlacheckiego wobec zaborców. Gdy chłop polski domagał się praw dla siebie i wierzył, że tylko wolna Polska uczyni go prawdziwym obywatelem „...w Warszawie magnaci polscy aby przypodchlebić się moskałom i dostać order od cara, poczęli zbierać ofiary na wojnę rosyjską (z Japonią, mój dopisek). Za to im lud warszawski powybiłszy szyby w pałacach...” („Przyjaciela Ludu”, Nr 14 z 1904 r. Wiadomości polityczne).

Władysław Błachut

E C H A... E C H A...

„WŁOŚCIANIN”

Tego właśnie dnia, to jest w Wielką Sobotę było pięknie na świecie; wietrzyk małecki powiewał po polu i wioskach mazowieckiej krainy — bo trzeba nam wiedzieć, że całe to zdarzenie odbywało się na Mazowszu, wielkiej prowincji polskiej, leżącej ponad rzekami — Wisłą i Narwią, co do Wisły wpada. Ziemia tam jest piaszczysta i niebardzo urodzajna, ale jednak dobrze uprawiana przez dzielnych Mazurów. A że Mazury są dzielnym ludem najlepszym na to dowodem jest przysłowie: „bitny jak ślepy Mazur”, które poszło stąd, że jak się zjawił który Mazur w bitwie, to szedł w ogień jak ślepy, nie zważając na kule i pociski nieprzyjaciół. Największym miastem na Mazowszu jest Warszawa, a każdy Mazur tak kocha swoją stolicę i ziemię, że się bez niej obejść nie może, ale tęskni do niej jak ryba do wody. Szcześliwi też są owi Mazurzy, że tak krchają swoją ziemię — że gotowi robić wszystko, byle tylko na chwałę swojej ziemi.

*

Zagrzmiały organy w kościółku modrzewowym Bogdanowa, tysiące świateł zapalonych w świątyni dodawało uroku i chwały dla Zmartwychwstałego Chrystusa Pana, podczas kiedy proboszcz parafii zaśpiewał uroczysto u stopni ołtarza: Alleluja, Alleluja, Alleluja! Tysiące piersi powtórzyło jego słowa i z tysiąca piersi znacznego i wernego ludu popłynęła pieśń do tronu Boga. Gdzie było okiem rzucić, wszędzie było widać twarzę wesole i szczęśliwe, zdawało się człowiekowi, że widzi przed sobą niebo śpiewające na chwałę Bogu. Niedługo ozwała się pieśń inna:

„Przez Twoje święte zmartwychwstanie
Boży Synu
odpuść nam nasze zgrzeszenie itd.”

którą znowu tysiące piersi śpiewało. Trzeba przyznać, że nigdzie nie usłyszycie takich pięknych pieśni i że nigdzie nie obchodzą uroczystej świąt wielkanocnych, jak w naszej kochanej Polsce. To też, gdy człowiek ujrzy się gdzieś na obcej ziemi, a nie usłyszy tych cudownych pieśni, to aż mu się serce kraje z żalu. I jak tu nie kochać takiej ziemi, która sama nawet ciągnie do siebie i radaby człowiekowi nieba przychylić?

„Włóścianin” LIV. 1872

„Kładź na stół świecenie”

Wielki post się kończy — w Wielki Piątek zamiast dzwonów zaczynają około kościoła dzieci kołatać, klekotać, tyrceć drewniane kłakotki, jarestki i tarapoty. Gdzienigdzie zaczynają krasić różnorako psiki czyli pisanki (jajka). Dużo byłoby o tym samym mówić.

Wreszcie przy Rezurekcji zabrzmiało wesole Alleluja!

Mój Boże! Wychudzony, wymorzony postem, wynędzniały wieśniak — fizycznie więcej utrapiony, niż duchowo, upokorzony człowiek inteligentny czeka na to Alleluja rzeczywiście tak, jak ongi Żyd na mannę w puszczy. To Alleluja, które katolicki kapłan wyrzeknie przy ołtarzu, jest dla niego ważną chwilą nie dlatego, że skosztować potem może wyjątkowych przysmaków, jakie go czekają w domu — jaj, kiełbasy i sera, lecz, że czuje się być nagle wolnym, po chrześcijańsku wolnym. On czuje tę wolność dobrze, chociaż jej określić nie jest w stanie. Moim zdaniem, to spokój ukojonego z pospolitych wzruszeń sumienia. Z poczucia tej duchowej wolności, z tego pogodnego, słodkiego ukojenia wypłynęła zapewne wiara ludu w powiecie tarnobrzaskim (Grybów, Stale, Jastkowice), że w W. Niedzielę „gdy się przypatrzeć na wschód słońca, to można zoba-

czyć, jak słońce trzy razy wschodzi i zachodzi, a co raz, gdy się pokaże, to tańczy w koło, i tak za każdym razem, aż gdy trzeci raz zejdzie, to już idzie w nieprzebraną swoją drogę”.

Cały ten dzień uroczyste, poważnie się obchodzi, a niekiedy wieczorem zagra muzyka, lecz rzadko. W. Niedziela to wielkie święto — trza „je keneenie w domu przepędzić — grzech jest nawet wzajemnie się odwiedzać”.

Przyszedłszy w Wielką Niedzielę z kościoła do domu, spożywają świecone, można sobie wyobrazić, z jakim smakiem je spożywają. Pisze Walski, jak chłop woła wtedy na żonę:

„Tera predko, matko, kładź na stół świecenie!
Ty go nam przezegnaj, Zmartwychwstały
Panie!

Juz Jezus przezegnał, chtëry zmartwychwstał,

matka po połowie dzieciom jajka daje.
Jak już jajko zjedli, co jinnego trzeba:
masła, štuki, sera, kiełbasy i chleba,
na ostatku baszcu, krzan w niem nadrobiony,
bo Jezus na krzyżu złotom był pojony;
krzan i złot jeden smak równy sobie majo,
to na te pamiotke jeść go nam kazajo”.

W Wielki Poniedziałek odbywa się znowu w pustej igrasce dawne karnawałowe uśpobienie chłopca. Tak zwany dziad św. Leja (w Nadbrzeżu dyngus) pozwala młodzieży na wesole psoty i wybryki — dziewczki i młode kobiety lejają chłopcy wodą sikawkami, garnkami, nawet konewkami, a jak ciepło na polu, to i zanurzają je w rzece razem z głową. I w tym jest racja, co dowcipnie podnosi Walski w wierszyku:

„Bo nieraz w zapusty z niemi tańcowali,
wtenczas zakurzyli, w Lejek optukali”.

Z biegiem czasu jednak ów Lejek w coraz łagodniejszej, delikatniejszej objawia się formie.

Jest przesąd, że której kobiety lub dziewczyny w W. Poniedziałek nie obleją, to ta nie będzie miała przez lato szczęścia do mleka — będzie miała jej krowa mało mleka i to rzadkie, niedobre, co się jej psuć będzie. (Jastkowice, Pysznica). Wielka Noc to prawdziwie kojące, uszlachetniające serce chłopca święto. Jak on w obliczu tego święta czuje dobrze odradzającą się przyrodę i siebie samego! Walski obdarzony duchem poetyckim, odczuwa to pewnie lepiej, serdeczniej, głębiej, niż ogół włóścian tutejszych, a jako

taki wskazuje na budzącą się u ludu samowiedzę i patriotyzm. Jeden wiersz Walskiego przytaczam tylko dla charakterystyki uczuć i zapatrywań przeciętnego wieśniaka ze Stalów, czy Grybowa, oraz dla kilku zawartych w nim przesądów — drugi wiersz to prawdziwe cacko, które wyszło spod pióra chłopca, które balsamem powinno być dla każdego kochającego kraj Polaka.

Oto jeden:

Wielka Noc nadchodzi, każdy się raduje
bo ona dla ludzi już wiosnę zwiastuje...

Oto drugi utwór Walskiego:

Dziś dzień Wielkanocny, Chrystus
zmartwychwstaje,
nam, bracia Polaki, przykład z siebie daje.

„ZARANIE”

Z palmą wielkanocną — godłem odrodzenia w szlachetności dusz, w dzielności umysłów, w sile i mocy potrzebnej narodowi naszemu idziemy dziś do Was, Bracia Czytelnicy i Przyjaciele nasi. Ta polska nasza palma, pierwszy zwiastun wiosny, nabrzmiała sokami nowego życia, niech nam wskazuje, że nowymi życiodajnymi zasadami i my bracia — ludzie — mamy spotęźnić! Mocy ducha, obudzenia się go i odrodzenia dla szczęścia nas wszystkich życzymy Wam dziś — Alleluja!

„Zaranie” 4.IV — 1912

Niech będzie nasze alleluja!

W ciągu kilku lat przedwojennych budziła się w ludzie polskim byłej Kongresówki jakaś dziwna żywa siła pragnąca właśnie nowego życia i rwąca się właśnie do tworzenia tego nowego lepszego jutra czynami własnymi, dzielnością, mądrością i pracą w „nowym dziele”. Wstrząs duchowy po ziemi naszej przebiegł wtedy.

W „Zaraniu” wyrażał i objawiał wówczas lud Polski swoje w tym względzie odrodzenie i jak gdyby zmartwychwstanie z wielowiekowego snu, zniekania i przygnębienia. Na dzień zmartwychwstania w r. 1913 polski wieśniacy duch odrodzenia swojego właśnie podaje Alleluja!

Wesoły nam dzień nastaje
Prawda jasne światło daje, Alleluja
Nędzarz dozna lepszej doli

Jan Marszałek

Chłopski syn

To nic, że ojcowej roli nie orzę,

że nie chodzę jak ojciec za pługiem.

Jak emigrant w białych wspomnień smugach

obraz wioski zielonej wiozę.

I rozdamę go moim przyjaciołom z bruku.

Tym, co chcą i tym, co nie chcą.

W brzęku ulic napeczniałych hukiem

wsi oddają słowa i serce.

I wiem: z słów tych, jak z pąków kiedyś

trykanie kwiatów biał i biał zieleń —

kiedy z chłopskiej twarzy smutek biednych

zetrze biała dłoń przyjaciela.

Wyzuje się z pęt niewoli
Wyzyskać się nie pozwoli, Alleluja!
Ustanie nad nami złych duchów krakanie.
Przyjdźcie nam zbożne dusz

zmartwychwstanie,
Gdy czynami i wolą twardą dzieje
nowego życia

Sami sobie wykuwać pocniemy.
Tak przed wojną pisał, tak mówili i tak
pieśni wyrażali chłopcy polscy swoją myśl
odrodzenia i wyzwolenia.

„Wyzwolenie” 17.IV 27.

Maksymilian Malinowski

„WICI”

„WICI” Dzieci słońca i ziemi

Radujmy się! Bo oto pierzcha zima wraz z serdecznym swym przyjacielem — mrozem. Ziemia — Matula na głaz zakuta i usnieżona białym całunem pokryta już odtajała i już życiem tętnić poczęła. Noc długa i nikiej ta szata żałobna czarna pierzcha hen na krańce świata. Zaprzepaścił się już i wicher moczarny co to cęgiem ponad zamarłą ziemią ponuro wyl, uspięne bory z korzeniami rwał, biela śmiertelnego całunu powiewał i pogrzebowe hymny śpiewał i zwycięstwo śmierci nad życiem — zaprzepaścił się kajś!

Radujmy się! Bo oto ziemia już życiem dyszy i przeży się i ku górze się dźwiga — nikiej ten zacznij ciasta chlebnego rośnie i plonowanie zwiastuje. Kwiecień kaczyńców się uśmiecha, klekotem bocianiem cościć pogaduje. Śpiewem wysypiewuje, przestworzom podniebnym rozgłasza, i pragnieniem nowego życia dyszy. Pragnieniem wyzwolenia z łona swojego nabrzmiałych mocy tworzenia, wzrastania i plonowania.

Radujmy się! Bo oto w pole trza iść! Ziemia — Matula nas zwie. A słońce nikiej ten Ojciec najlepszy jasnością swych promieni — nas błogosławi. Gorącością swoją zar życia w nas rozplomienia. Ognie chcenia i pragnienia i tworzenia w głębi dusz naszych roznieca.

W pole iść i nowe życie tworzyć trza! Radujmy się, dzieci słońca i Ziemi — córy i syny młodej wsi! W radości onej wiośnianej, niechaj piersi nasze mocarne i twórcza tęsknota rozsada. Niechaj cechami przepięknych pieśni wybucha — wszystkie struny duszy potrąca i zwycięski hymn śpiewa i wydzwaniania, w przestworza podniebne miesie i zwycięstwo głosi. Hymn Ziemi i Słońca, pracy i plonowania, prawdy i sprawiedliwości. Radujmy się, bo oto w pole iść i nowe życie stworzyć trza!

„Wici” 31.III.1929. Józef Niećko

„WYZWOLENIE”

Na Zmartwychwstanie

...A oto i lud polski był również zamordowany, wdeptany w ziemię, zabity moralnie, sprowadzony do roli domowego bydła. A przecież widzimy, że z tego grobu dźwiga się i powstaje mimo wrzasku faryzeuszów pomimo zrad obłudników, pomimo, że przy jego mogile straż, a i stoi jeszcze uzbrojona w siłę pieniądza a i w powagę kapłaństwa i broni wyjścia z mogiły nakrytej kamiennym głazem gwałtu, przemocy, fałszu faryzejskiego i obłudy.

I dlatego... trzeba nam wierzyć, ufać i pracować i walczyć z ciemnościami grobu, do którego chcą nas zamknąć i postawić przy nim straż, „żelazem okrytą”, a wszelkiego człowieka, który nas budzi ze śmiertelnej śpiączki zwalczają jako burzycieli wiary i bezwładu, z którym im jest dobrze.

Powstała z grobu Polaka, musi też powstać z rozbitcia swej siły lud polski. Tego wam życzę w Święto Zmartwychwstania stary przyjaciel.

1927 r. Tomasz Nocznicki

Zebrał Henryk Syska

Andrzej Strumiłło

Notatki z Opoczyńskiego

Opoczyńskie — region na pograniczu Kieleckiego i Mazowsza, posiada stosunkowo wiele zabytków, pamiątek i obumierających częściowo przejawów kultury czasów minionych, przy jednoczesnym istnieniu rozwijających się, żywych form kultury dzisiejszej. Opoczyńskie jest do chwili obecnej skarbnicą materiałów etnograficznych. W roku ubiegłym, przez kilka miesięcy lata i jesieni, na terenie tym przebywała prowadząc badania i gromadząc materiały ekspedycja Muzeum Etnograficznego z Łodzi. Biorąc udział w pracach tej ekspedycji miałem możliwość zapoznania się z kulturą ludową w jej obu postaciach: duchowej i materialnej, oraz historią tego regionu.

Byłem świadkiem przemian poważnych. Zmieniło się tu wiele od czasów, kiedy Kolberg jeździł po Opoczyńskim opisując obrzędy, zwyczaje, spisując teksty pieśni. Jego dzieła pozostają już w bibliotekach. Pieśni spisane przez niego przeszły w większości do historii. Nie śpiewa ich lud opoczyński. Podobnie jest z innymi przejawami kultury. Zamieranie jednych, a powstawanie drugich, daje się zauważyć na każdym kroku. Bezspornie objaw ten, wywołany i uwarunkowany jest przemianami ogólnospołecznymi i reformami gospodarczej wsi. W miarę oddalania się stroju pańszczyźnianego znikła wieś Kolberga, mająca wiele wspólnych więzi z kulturą szlachecką. Ginią wzorowane na szlacheckich stroje ludowe, ginią w ogóle stroje jako odznaka klasy społecznej. Zanik pracy zbiorowej pociągnął za sobą upadek pieśni, tańca grupowego, wielu obrzędów i zwyczajów, wiążących się z powiązanym pracą zbiorowiskiem. Niewątpliwie w owych przejawach kulturowych tkwiły pewne wartości. Dziś, podlegając prawu ewolucji, niktą one bezpowrotnie. Załamywać rąk nad nimi nie możemy. Muzea Etnograficzne zaksięgowywały już dawno te pozycje kultury ludowej.

Na ich miejsce zjawiają się nowe formy, przejmowane z kultury mieszczańskiej, a rzadziej wypracowane przez lud i warunki. Widzimy to wszędzie, widzimy wyraźnie, jak wieś kroczy od sielankowej, śpiewającej i malowniczej wsi Kolberga o kulturze niskiej, wzorowanej na szlacheckiej, poprzez wzorce mieszczańskie do funkcjonalnej, czystej, zdrowej i światłej wsi niedalekiej przyszłości, opartej o własną kulturę ludową.

Dla zilustrowania moich uwag podaję zdjęcia i rysunki (Oryginały zdjęć znajdują się w Miejskim Muzeum Etnograficznym w Łodzi). Weźmy jeden z najbardziej czułych wskaźników cywilizacji — dom człowieka, reprezentujący tu architekturę. Najstarsze spotykane chaty (wiek XVIII—XIX) zbudowane z grubych bali sosnowych lub modrzewiowych, obrabianych siekierą. Dachy czterospadkowe kryte słomą. Chaty te zazwyczaj posiadają sieni, ko-

morę, izbę i budynki gospodarskie, oprócz stodoły, pod jednym dachem. Chata podmurówki nie posiada. Ozdób brak. (Fotografia nr 1, 2, 3, 4). Typ chaty nowej budowany jest z drzewa sosnowego cienkiego, obrobionego przy pomocy narzędzi ciesielskich. Dach dwuspadkowy. Szczyty, ganki, okna, drzwi, wiatróvky, bogato rzeźbione i wycinane. Podmurówki z kamienia, ściany często malowane (Fot. i rys. nr 2, 3, 4, 5, 7). Typ najnowszy chaty budowany jest przeważnie z drzewa. Spotkać można budynki murowane. Dach dwuspadkowy, podniesiony nad murlatę i podszalowany (tzw. „na kremlu”), kryty blachą, dachówką lub słomą. Ozdoby rzadsze i bardziej szablonowe. (Rys. nr 5, 7).

Ulega również zmianie wnętrze chaty. Sprzęt domowy staje się coraz bardziej prosty, szablonowo jarmarczny, odarty z ozdób, ale zarazem bardziej funkcjonalny i przystosowany do wymagań higieny. (Fot. nr. 8, 9, 10, 11, 13).

Zmienia się strój ludowy zamieszkujących te chaty. Znikły szerokie pasy, długie na kilka metrów wzorowane na szlacheckich. Cały męski strój ludowy powędrował do kupionych na jarmarku w Opocznie, Odrzywole, Studziannej lub Drzewicy skrzyń. Kobiety zachowały go jeszcze, ale pokolenie młodsze nosi go już tylko w święta. Jego miejsce zajmuje ubiór uniwersalno-mieszczański. Wielu z etnografów gorliwie broni strojów regionalnych. Strój ten posiada jednak obok malowniczności i barwności i odrębności dzielnicowej i wady. Jest ciężki, niewygodny, kosztowny i nieodpowiadający wymaganiom higieny. Szerokie, długie spódnice i fartuchy kojarzyły mi się zawsze z krynolinami, a ciasne staniki, płaszczące piersi ścisnące klatkę piersiową, z gorsetem (Fot. 6, 12).

Zmianie ulec musiała i psychika człowieka. Ale rozważania na ten temat, to sprawa niezwykle subtelna. Stwierdzić jedynie mogę, iż zmienił się jego stosunek do siebie i otoczenia. (Zdjęcia nr. 14, 15).

Uwagi moje są tylko luźnymi spostrzeżeniami, którymi dzielę się z czytelnikiem. Nie stawiam sobie za cel wytknięcia wskazówek mających prowadzić ku stworzeniu kultury wsi polskiej. Problem ten jest zbyt skomplikowanym, by rozstrzygnąć go w pełni jednym cięciem.

Żyjemy w epoce doniosłej w dziejach kultury ludowej. Jesteśmy świadkami kształtowania się jej nowych form. Nie możemy nie wziąć udziału w ich kształtowaniu. Od nas bowiem, w wielkiej mierze zależy ich charakter i przyszły poziom. Kultura warstwy do niedawna upośledzonej, kultura 70 proc. części narodu, kultura mająca tyle jeszcze do osiągnięcia nie może być puszczona samopas, kształtować się przypadkowo, z dnia na dzień, jak Bóg da.



1. Chata kowala (Brzustowiec)



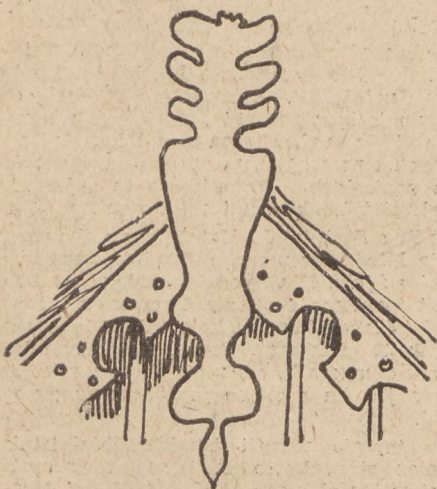
2. Przybudówka przy starej chacie



3. Dom we wsi Zakościele



4. Dom we wsi Zakościele



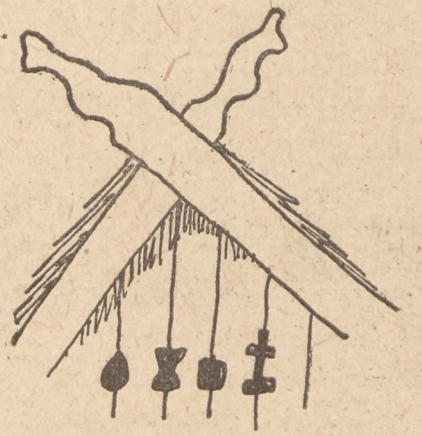
5. Ozdoby przy szczytach



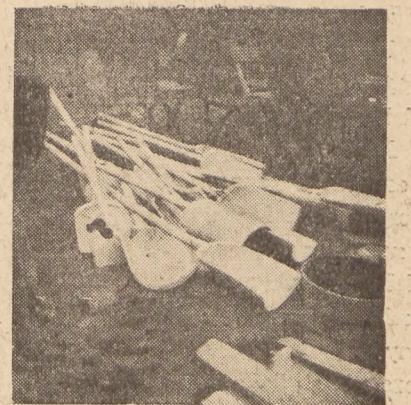
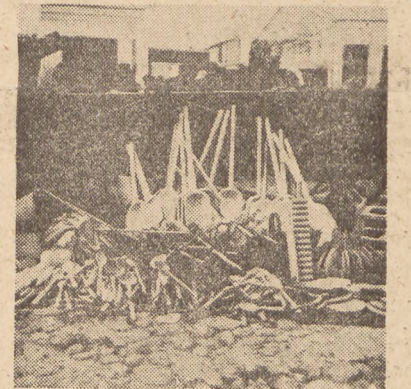
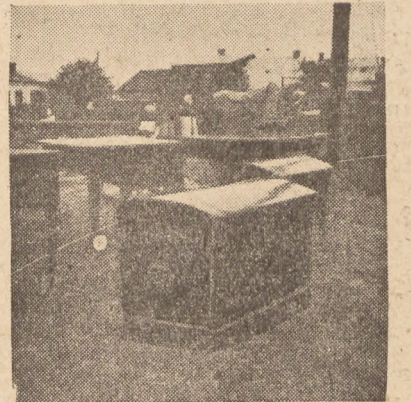
6. Młoda mężatka w stroju „błogostawienstwa” (Radzice Duże)



13. Wnętrze chaty



7. Ozdoby przy szczytach



8, 9, 10, 11. Z jarmarku w Odrzywole



12. Chłop w stroju odświętnym

Józef Andrzej Frasik

Łza matki

Kołysankę zawsze przywykła
nucić nad dziecka kołyską —
utrudzona pracą i nęką,
sama ślania się nisko.

Nim zaśnie córeczka, już w okno
struga przedrannego złota
przeblyskuje w szybach jak wota,
zorzę w oknach już płoną.

Jeszcze liczy dziecka oddechy,
jeszcze wsłuchuje się w tętno —
i już jej łzę, już się uśmiecha —
zorzę w oknach już błędną.

Rano, drzewo znosi, ogień roznieca,
nad ballą się schyli, charuje długo —
a gdy wiatr bieli i trzepoce chusty
nad strugą —
o daj jej złoto ros i woń polnego kwie-
cia.

Córka jeszcze nie wie:
śmiecchem lśni jak pogoda —
o moja dziecinną i młodą
jak pąki bżów, jak ptaków lot,
jak obłoków lśnienie na niebie.

Józef Ozga-Michalski

Brzoza

Rosły w dolinie brzeziny zielone
pnie miały białe.

Pastuchy bydło tam przyganiały
na trawę.

I był pastuch niekoślawy
prosty —

Jak brzezica co rosła
z kraja —

Reszta brzeziny i chłopaków
graślawia stała
przez dzień

nie przez noc,

bo w nocy chłopaki spały.

Pod tą brzezicą prostą białą

chłopak ten prosty stawał

i płakał razem z brzezina,

że mu zimno w nogi,

bo był bosy

— Nogi mi się obroszą

I drżał razem z brzezina,

co drżała

Ale ona nie z zimna,

przyczyna była inna;

Stął naprzeciw jawor

w niebo zszumiony

był młody zielony

i żony

jeszcze nie szukał.

To drżała brzezina

powiewem z onego drżenia

gałązki mu odgina

jak ręce

jakby chciała co przedź

w nie wpaść

A jawor korzenne stopy

Wparł w ziemię

i brzemie

odginał miłosnych

wstrzymuje —

Może

ją tam gdzie dotknął pod ziemią

pociemku jak w komorze,

— gdy parobek pannę dotyka nieśmiało

więc jawor ciało

brzozowe chyba korzeniem namacał

jeno nie wiem czy zaczął

opłacać korzeniem jej ciało —

chyba nie,

bo brzezina nieśmiało

listki puściła miłosne

Na wiosnę...

Dr Mieczysław Kafel
i Amalia Zielewicz

WAS, KOBIETY

(50 lat pracy kobiety wiejskiej *)

1. UWAGI WSTĘPNE

Gdyby ktoś chciał szukać argumentów na poparcie twierdzenia, iż dorobek kobiety wiejskiej w życiu i postępie społecznym wsi był i jest przez naszych historyków zapoznany, to argumentem najsilniejszym wydaje się być nieuwzględnianie tej pozycji (pracy społecznej kobiet na wsi) w opisach, wspomnieniach i publicystyce ostatnich dwu lat. A są to przecież lata jubileuszu 50-letniej chłopskiej pracy społecznej i politycznej.

To też słusznym nam się wydaje — zanim przejdziemy do uogólnień i podsumowania całości wysiłków społecznych kobiety wiejskiej w Polsce — dać czytelnikom przykładowy przegląd tych prac na terenie jednej wsi, jednego ośrodka pracy gospodyni.

Ośrodkiem tym będzie znana przed wojną a i dziś nie pozostająca w tyle wieś Handzlówka w powiecie łanuckim.

2. Z HISTORII HANDZŁÓWKI

Handzlówka obok Liskowa (drugiej wsi wzorowej) była często wspomniana przez działaczy i socjologów wsi. Podnoszono przy różnych okazjach dzielność, zaradczność i wyrobienie społeczne mieszkańców tych osad. Stawiano — i słusznie — jako wzór do naśladowania. Przy okazjach tych nie podnoszono jednak pracy i udziału kobiety, która przynajmniej równy jeśli nie większy wkład w dorobek tych wsi. Dobrze więc będzie zwrócić obecnie uwagę na to zjawisko.

Wzorowość Handzlówki wyrosła bowiem z ciężkiego, codziennego wysiłku w którym dużą rolę odegrała kobieta-gospodyni.

Wieś leży w pagórkowatej i lesistej okolicy na Podkarpacku. W roku 1921 liczyła 1572 osób, budynków mieszkalnych 316, w roku 1931 liczba mieszkańców zwiększyła się do 1685, zaś budynków mieszkalnych do 342. W roku 1931 powierzchnia gruntów wynosiła 11,72 km², czyli na głowę przypadła około 60 arów ornych (52 arów — nie cały móg).

W tej małej stosunkowo wsi, w której rozdrobnienie gruntów jest bardzo wielkie, istniały już przed wojną światową następujące instytucje gospodarcze i społeczne: Kółko Rolnicze, Kasa Reiffeisena, Sklep Kółka Rolniczego, Koło Gospodyni, Spółdzielnia Mleczarska, Ochotnicza Straż Pożarna, Chór i Teatr Wiośniński, Drużyna Bartoszońska, Czytelnia.

3. PRACA KOBIET

Nam idzie o pracę kobiet wiejskich w tych organizacjach. Otóż w czasach przedwojennych zrozumienie dla spraw społecznych u kobiet jest bardzo małe. Kobieta nie dość, że sama nie udziela się, ale często utrudnia społeczną pracę mężowi nie pozwalając mu pójść na zebranie z obawy, że się „rozwióczy”. Niektórzy spośród mężczyzn czynni i uświadomieni, pracujący w swych organizacjach, pragną uśmielić zorganizować stałe zebrania kobiet. Kobiety początkowo „walczą” z inicjatywą mężczyzn. Bojkotują kilka razy umiawione zebrania, uważają to wszystko za niepotrzebną stratę tak cennego na wsi czasu.

Działacze miejscowi jednak nie ustępują. Wreszcie udaje się zwołać pierwsze zebranie kobiet w Handzlówce. Odkryło się ono 25-go marca 1929 roku. Do licznie zebranych kobiet przemówił Franciszek Magryś, późniejszy autor „Żywota Chłopa-Działacza”¹⁾, gdzie wypowiada się na ten temat w następujący sposób: „Przez kilka lat odbywały się w naszej wsi takie zebrania kobiet. Wreszcie w lutym w 1927 roku kobiety same odczuły potrzebę zawiązania kółka rolniczego kobiet. Zaprosiły mnie na zgromadzenie, więc korzystając ze sposobności zachęciłem je do stworzenia samodzielnego związku, który da im wiele korzyści. Od kobiet bowiem wiele wymaga się a mało im daje się nauki. Żądają, aby kobieta była pobożną, gospodarną, ochełdną, cnotliwą, moralną, dobrą żoną, dobrą matką i t. p., do czego potrzeba wiele nauki i oświaty. Gospodarstwa drobniejsza, mężowie wychodzą do Prus, do Węgier, do Ameryki, a gospodynie zostają same z dziećmi na gruncie, mają wprawdzie całe gospodarstwo, ale na wypadek taki gdy same zostaną w domu powinny uczyć się samodzielności w jego prowadzeniu i nie tylko w domu, ale i poza domem. Zgromadzenie o którym wyżej wspomniałem zrozumiało dobrze te sprawy, skoro doprowadziło do zorganizowania kółka rolniczego kobiet, do którego wpisało się 30 kobiet na członków. Pierwszą przewodniczącą była Maria Rajzerówna, zastępczynią Julia Cwynarówna, sekretarką Magdalena Zonarówna. Na zebraniu kółka rolniczego kobiet miałem często odczyty o wychowaniu dzieci, o porządkach w domu, o chowie bydła, trzody, drobiu i ogrodnictwie”.

Takie były początki. Lat temu pięćdziesiąt...

*) Przykład z terenu jednej wsi. Fragment większej całości.

¹⁾ Franciszek Magryś, Żywot Chłopa-Działacza — Lwów.

4. UDZIAŁ KOBIET W ORGANIZACJACH HANDZŁÓWKI

Przełamano więc pierwsze lody. Kółko rolnicze kobiet jest początkiem rozwijającej się później różnie, wszechstronnej pracy społecznej na terenie tej wsi.

W niedługim czasie kobiety same występują z inicjatywą założenia Szkoły Gospodyń Wiejskich w sąsiedniej wsi Albigojowej.

Oddajmy jednak głos Magrysiowi, który pisze:

„Urządzano w Łanucie uroczystość narodową ku czci Mickiewicza, gdzie spotkałem się z gościem Zardeckim, z którym to rozmawialiśmy wiele o sprawach społecznych. Między innymi powiedziałam mu: „Panie pośle jest już na wsi zmiłana na lepsze, mamy kółko rolnicze, gdzie my chłopcy możemy się nauczyć wiele, ale nasze kobiety są jeszcze bierne, a im bodaj więcej potrzeba nauki jak nam, bo jako matki dobre dzieci wychować winny i również winny być dobrymi gospodyniami. Kobiety nasze winny znać się na higienie, na przyrządzaniu potraw, chowie bydła, trzody i ogrodnictwie”.

Zardecki przyznał rację i jako przykład podał między inn., że kobiety mało na wsi umiają, kiedy bowiem został zaproszony do najbogatszego gospodarza w Markowej, widać najlepiej jak nie umiano tego wesela urządzić, ani gości przyjąć, choć było wszystkiego pod dostatkiem”.

Na skutek tych różnych starań zorganizowano tymczasową szkołę dla gospodyni. Myślano jednak ciągle o założeniu stałej szkoły gospodarczej wiejskiej, która miała gospodarstwo rolne, potrzebne do nauki praktycznej i która miałaby również własne budynki. Wreszcie powstała w Albigojowej szkoła kosztem krajowym, która do dziś jest ważnym ośrodkiem krzewienia kultury rolniczej na wsi²⁾.

Przytoczymy jeszcze inne zdanie Magrysia z Handzlówki o kółku kobiet³⁾.

„A jeszcze i poza domem powinna każda kobieta umieć prowadzić gospodarstwo na własną rękę by przynosić dochodu z każdej gałęzi gospodarstwa; powinna umieć prowadzić rachunki, znać się na ogrodnictwie i sadzić marchew, cebulę, pietruszkę, ogórki, banie i inne warzywa, chociażby tylko do urozmaicenia i przyprawy potraw. Bo nasze gospodynie umieją tylko ugotować barszcz, ziemniaki, kapustę, kaszę na mleku i kluski gnieleone i to cała parada, a nie ani im się nawet, żeby to często odmienić, zaprawić czemś inaczej. Każda uważała by to za jakieś pańskie wymysły, a przecież ciężko pracującej każdej chciałaby i zjeść i mieszkać porządnie i czysto się ubierać, bo to przyczynia i zdrowia, i siły, i wesela. Dlatego gospodyni każda powinna znać dobór nasion warzywnych; wiedzieć, które dorodniejsze, lepsze, gdzie się które uda i jakiego potrzeba mu nawozu i jakiej uprawy, żeby się udały. Ale chociaż wie która, co to jest nawóz? A no — powiedzą — gnój do was należy, niech chłop dobrze grunt znowozł, zasieje, posadzi, to my już okopielimy i wszystko będzie dobrze. A tymczasem chłop nie ma na to czasu, bo coraz częściej zarabiacz musi po za domem i prawie nigdy nie ma go w domu, tak, że ledwie na noc powróci. Dlatego kobiety powinny dbać o nawóz, gdyż dobry nawóz pomnaża ją, wszędzie leży to bezładu, na kupie, woda zalewa i zmywa, a gospodynie nawet nie wiedzą, wiele przez to marnuje się pieniędzy. Dlatego też powinny gospodynie garnąć się do oświaty, zawiązywać kółka kobiece przynajmniej raz na miesiąc zbierać się i pouczać o swoich obowiązkach, a będą umiały lepiej gospodarować, utrzymać porządek w chacie, lepiej chodzić koło bydła, uprawiać warzywa i szanować nawóz, a wtedy pomnoży się dobrobyt i nie będziecie narzekali na biedę.

W naszej wiosce kobiety przed rokiem już zawiązały kółko i schodzą się dwa razy na miesiąc, zawsze w niedzielę po niesporach, oprócz tego urządziłyśmy po godach dwa walne zgromadzenia wszystkich kobiet z całej wsi, na których rozprawiało się o różnych ważnych sprawach jak o wychowaniu dzieci, o chowie bydła, trzody chlewniej, drobiu, o szanowaniu nawozu od drobiu, o organizacji kobiet, o sklepie kółkowym i t. p. Kobiety były bardzo zadowolone, oświadczyły, że kółko im potrzebne, i uchwały żeby częściej takie zebrania urządzić. I chociaż to dopiero początek, a już dziś zmienilo się u nas na lepsze tak, że nauczyciel nasz, który tego roku przyszedł do nas z innej wsi mówi, że nigdzie dzieci nie przychodzi do szkoły tak czysto i porządnie ubrane, jak u nas i dziwił się, że w Handzlówce bieda nie widać, choć to już górska gleba”.

Takie były początki życia społecznego kobiet w Handzlówce. Stosunkowo w niedługim czasie kobiety handzlowskie doszły do przekonania, że oświata, praca społeczna, samokształcenie, to jedna z głównych dróg do dobrobytu. W Handzlówce jeszcze długo przed pierwszą wojną światową odpowiadały kobiety czynem na zarzut, że kobieta społecznicą nie będzie dobrą matką czy żoną. Zarzut, który jeszcze dziś tu i ówdzie jest wysuwany.

²⁾ Przewodnik Kółek Rolniczych 1908 r., str. 241.

Gospodarstwa tych kobiet, którym nie obca była książka czy dobry odczyt, były schludniejsze, dzieci lepiej i racjonalniej odżywione i t. d. Od tych początków minęło wiele lat.

5. OSTATNIE LATA PRZEDWOJENNE³⁾

Z chwilą zorganizowania dziecińców sprawa wychowania dzieci w Handzlówce posunęła się o wiele naprzód. Przeciętnie znajdowało się w dziecińcu co roku 30 dzieci. Koszty miesięczne wynosiły 85 zł czyli 3 zł opłaty od jednego dziecka.

Kobiecie wiejskiej należącej do organizacji nie wystarczyła już umiejętność szycia, gotowania, gospodarowania. Zdaje sobie ona należycie sprawę z jej zadań i praw życiowych, z jej równouprawnienia z mężczyzną. W związku z tem zauważyliśmy ciekawy objaw: ze wzmocnieniem akcji politycznej na wsi spada procent członkiń w organizacjach fachowych, gospodarczych, oświatowych. Utwierdzają nas w tym przeświadczeniu stosunki obserwowane na terenie Handzlówki. Wiele kobiet należących do Koła Gospodyń Wiejskich przechodzi w ostatnich latach przedwojennych do Koła Kobiet przy Stronnictwie Ludowym. Obserwujemy to nie tylko w samej Handzlówce, ale na terenie całego powiatu łanuckiego. Na terenie tego powiatu było bowiem Kół Gospodyń Wiejskich⁴⁾:

W roku 1925	34
„ „ 1937	25
„ „ 1938	18

Aby zapobiec wypisywaniu się członkiń i zapewnić możliwość egzystencji i rozwoju Koła Gospodyń Wiejskich w Handzlówce, dano możliwość kobietom zapisywania się równocześnie do dwóch organizacji, przez uchwalenie odpowiednich poprawek w statutach miejscowych organizacji.

Bardzo żywą organizacją kobiecą działającą na terenie Handzlówki (1938—1939) była Sekcja Kobiet przy Stronnictwie Ludowym. Miała on charakter wybitnie polityczny, ale i tu nie brak dążeń gospodarczych, oświatowych i innych prac nad wszechstronnym wykształceniem kobiety wiejskiej jako matki, gospodyni, obywatelki. Do Sekcji S. L. należało w 1938 r. — 55 członkiń.

Na zebrania uczęszcza przeciętnie 40 do 50 osób. W Handzlówce mieszkało wtedy około 600 dorosłych kobiet, a więc do organizacji politycznej należało około 10% kobiet. W większej części należą tutaj kobiety, które już przeszły szkołę pracy społecznej w Związku Wiejskiej Młodzieży „WICI”. Posiadają już one pewien zasób wiadomości i wyrobienia organizacyjnego. Według przeprowadzonych przez nas obliczeń (przeciętnie) należą do tej organizacji kobiety w wieku od 23—60 roku życia. Bardzo często urządzają zebrania mężczyzn. Uważają, że tak jak w chacie wiejskiej powinna panować zasada współpracy z mężczyzną, tak też powinno być w życiu społecznym i politycznym.

Dowód tego dała Handzlówka i inne okoliczne wsie w czasie strajku rolnego w przeworskim w 1937 r., gdzie kobiety okazały wielką wytrwałość i ofiarność w służbie społecznej dostarczając chłopom żywności i oddając im wielkie usługi organizacyjne.

Istniało również na terenie Handzlówki — Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Do koła tego należało 25 dziewcząt. Urządzały one raz w miesiącu zebrania, na których wygłaszane były referaty na temat kwestyj społecznych i prawnych, poruszanych w encyklikach papieskich. Organizacja ta zajmowała się również konkursami rolniczymi.

Według Statutu do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży mogą należeć dziewczęta od 18 roku życia. Dla młodzieży wieku od 12 do 17 lat tworzone są t. zw. koła przygotowawcze. W Handzlówce w kole takim było zapisanych 20 dziewcząt. Poza miejscowym księdzem, opiekowała się nimi starsza młodzież, urządzając im wspólne gry, zabawy i pogadanki.

Na terenie parafii handzlowskiej istniało również stosunkowo b. liczne towarzystwo Bractwa Kościelnego.

Organizacja ta ma charakter czysto religijny. Program jej oparty jest jedynie na praktykach kościelnych np. przystępowanie do Najświętszego Sakramentu, odmawiania różańca. Działa się między sobą na Bractwa Różańcowe liczące po 15 kobiet, które tworzą tzw. żywy różaniec. Należały tu przeważnie starsze kobiety.

(C. d. n.)

³⁾ Podajemy na podstawie przeprowadzonej przez nas na miejscu ankiety i uzyskanych dat od miejscowych organizacji. Ankieta została przeprowadzona w 1939 roku.

⁴⁾ o. c. ankieta.

SPROSTOWANIE

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” Warszawa, ul. Smulikowskiego 4, zawiadamia, że termin nadsyłania prac konkursowych na powieść dla młodzieży upływa z dniem 1-go czerwca 1947 r., a nie 1 kwietnia, jak mylnie podała część prasy.

czegoś dokonać, to dokona, a ona nas chciała widzieć, bo nas przecież nie widywała całymi tygodniami.

Któregoś roku rodzice osiedli wreszcie na stałszy pobyt. A stało się to dlatego, że prawie każdy dom miał wysiedlonego, więc już nie było celu przesiedlać się do innych. Pracę rodzice też mieli, bo wynajmowali trochę pola, siali cebulę, uprawiali ją przez lato, a jesienią dzielili się zbiorami. Po nas na drugi rok poszli inni tą samą drogą i w ten sposób nauczyliśmy tę wieś masowej uprawy cebuli.

WEDRÓWKA DO ŁODZI.

Kiedy na wiosnę po nowym roku wkroczyły wojska polskie i rosyjskie, a było to w r. 1945. wróciliśmy na swoje. Jeszcze trupy leżały końskie i ludzkie przy drogach, a myśmy szli zaraz za frontem, żeby się dostać do siebie, a za nami szły całe procesje ludzi wysiedlonych.

Jednak ta wojna nie nie nauczyła mego ojczyma. Uważał tylko swojego syna, a nas miał za nic. To też ja udałam się trochę pieszo, trochę wozem do Łodzi, tu znalazłam pracę w tkalni, żeby tylko zejść z oczu ojczymowi, a nie narażać na cierpienia matki, która dopiero teraz poznała, jak wielki błąd uczyniła, wychodząc drugi raz za mąż za człowieka obcego. Zamieszkałam u ciotki.

— Może tam ci będzie lepiej, dziecko, niż u nas... — powiedziała matka, kiedy się ze mną żegnała.

Ale ciotka, jak to ciotka, z początku była bardzo dobra, ale z biegiem czasu powstała między nami wojna. Myślała, że ze mnie będzie miała kokosy, a ja ledwie tylko sama na siebie przędę. Toteż kiedy teraz matka mnie odwiedziła i zobaczyła na mojej głowie kapelus, miała lzy szczęścia w oczach, ale wkrótce przyszła ciotka i jak nie wrzaśnie na mnie tak, że matka aż zbladła i znów swoje:

— Myślałam, że ci tu tak dobrze, ale widzę, że i tu to samo — i znów zaczęła płakać nade mną.

Czesława Dalkówna

WEZWANIE

Do Oddziałów i Członków Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i całej wiejskiej społeczności.

Ogromnie życzę, jakiegoś powodzi kłosa powodzi odczuwa najboleśniej dziecko.

Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci wzywa wszystkich a członków ChTPD w szczególności do niezwłocznego niesienia pomocy powodziom.

Szybka, zbiorowa akcja uratować może zdrowie, a nawet życie niejednego dziecka.

Wzywamy członków i ludzi dobrych do intensywnego udziału w pracach Komitetów Niesienia Pomocy Nieszczęśliwym.

Koła ChTPD z terenów zarażonych niech działają w bezpośredniej akcji pomocy, która do nich przychodzi. Ogniwa ChTPD z innych terenów niech niosą pomoc sąsiedzka przez udzielanie schronienia dzieciom powodziom, dostarczanie odzieży, żywności i wszelkiej pomocy ratując zdrowie, wznagając przez to siły do przetrwania najcięższego okresu.

Ofiary pieniężne na pomoc dzieciom przyjmuje Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci na konto PKO 4554 (Warszawa, Śniadeckich 23, m. 6).

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

WYŻYNKA

Stron 205

Cena 250 zł.

NAKŁADEM KSIĘGARNI ŁOWICKIEJ

W Ł O W I C Z U

M. Kokoszkiewicz

Po upowszechnieniu własności

Związek Samopomocy Chłopskiej w pracy ze wsią

Dekret o przeprowadzeniu reformy rolnej z dnia 6 września r. 1944 i dekret o ustroju rolnym i osadnictwie na obszarze ziem odzyskanych i b. Wolnego Miasta Gdańska z dnia 6 września r. 1946, stworzyły w Polsce nową strukturę rolną.

Te akty prawne łącznie z narodowym planem gospodarczym dokonały rewolucyjnej przemiany ustroju społeczno-gospodarczego na wsi polskiej. Przyszła konstytucja będzie miała za zadanie przekształcić ich zasady w formalne normy konstytucyjne i stworzyć nadbudowę ustroju politycznego nad nimi.

Nowego ustroju rolnego na wsi polskiej nie można określić jako socjalistyczny, nie można go określić również jako kapitalistyczny. Na wsi nastąpiło nie uspołecznienie własności, lecz jej upowszechnienie.

Zrealizowany został stary program agrarny stronnictwa ludowego, oparty na powszechnej parcelacji i dążący do demokratyzacji własności prywatnej na wsi. Tu mamy największy i najdalej idący kompromis ze strony stronnictw robotniczych.

To ustępstwo na rzecz stronnictwa ludowego znalazło swoje potwierdzenie w treści planu gospodarczego i rozmachu rozbudowy spółdzielczego aparatu rolniczego.

Struktura gospodarcza i społeczna wsi polskiej, kształtująca się przed tym ewolucyjnie, niemal przez stulecia, uległa obecnie gwałtownym przeobrażeniom w drodze przemian rewolucyjnych.

Wpłynęły na to nie tylko zmiany społeczne i polityczne, ale również i samo usytuowanie terytorialne naszego kraju po wojnie.

Dotychczasowy ustrój rolny wsi polskiej był przestarzały, tak w swej formie własnościowej, jak i organizacyjnej, a przede wszystkim miał niezdrowy podział ziemi.

Obok wielkich obszarów ziemskich, stanowiących własność kilku tysięcy osób, było ca i mil. zbyt małych gospodarstw rolnych, tak zwanych karłowatych, niedających nawet możliwości wyżywienia się z nich rodzinie chłopskiej, nie mówiąc już o zaspokojeniu innych potrzeb.

Na podstawie danych małego rocznika statystycznego z roku 1937, rolników — właścicieli gospodarstw z rodzinami było ca 16 milionów. Ale ponad 40 proc. gospodarstw rolnych, to gospodarstwa poniżej 3 ha.

Przychód z takich gospodarstw karłowatych, 3-hektarowych, wyniósł rocznie ca zł 450, a ich dochód netto nie przekraczał kwoty zł 100.

W tych warunkach nie można właścicieli tego miliona gospodarstw rolnych traktować, jako prywatnych samodzielnych przedsiębiorstw. Ze społecznego punktu widzenia, byli oni typowymi proletariuszami, pozbawionymi przy tym opieki społecznej, jaką posiadali robotnicy w miastach.

Poza tym dochód z pracy na roli był w dużej dysproporcji z dochodem uzyskanym w innych zawodach i wskutek tego wytworzył przemysłowe były niedostępne dla znacznej części ludności wsi polskiej.

Dlatego też stronnictwo Ludowe dążyło do przebudowy ustroju rolnego, któryby miał taką strukturę gospodarczą i takie warunki rozwojowe, aby wszyscy obywatele zdolni do pracy na roli, byli odpowiednio zatrudnieni i aby nastąpiło wyrównanie opłacalności pracy w rolnictwie z opłacalnością innych zawodów.

W wyniku przebudowy ustroju rolnego mają powstać gospodarstwa chłopskie, zatrudniające zespół rodziny i stwarzające jemu właściwe warunki egzystencji. Gospodarstwa te winny być postawione na takim poziomie technicznym, aby nie tylko nie została obniżona dotychczasowa wydajność rolnictwa, lecz przeciwnie — podniosła się wydajność.

W nowym ustroju znikł typ gospodarstw obszarowych, znikł typ chłopskich gospodarstw karłowatych — poniżej 3 ha, a powstają gospodarstwa drobnorolne, indywidualne, zarówno pod względem własności, jak i formy gospodarowania o przeciętnej wielkości 5 ha na ziemiach starych i od 7 do 15 ha na ziemiach odzyskanych.

Pozostawione nieliczne gospodarstwa folwarczne, będące w posiadaniu Państwa i tzw. resztówki poparcelacyjne, stanowiące własność spółdzielczości Samopomocy Chłopskiej, posiadać mają charakter ośrodków kultury rolnej, których zadaniem będzie zaopatrzenie drobnego rolnika między innymi w selekcyjne ziarno siewne oraz bydło zarodowe.

Utworzone nowe gospodarstwa chłopskie, zdrowe pod względem struktury powierzchniowej, winny być również ulepszone w swej strukturze organizacyjnej przez odpowiednie zabiegi techniczne między innymi przez usunięcie szachownic, elektryfikację, mechanizację itp.

Nowy ustrój rolny stwarza drobnorolne warsztaty pracy, dla których będzie potrzebna ustalić kierunek gospodarki rolnej, jaki należy im stworzyć w ramach gospodarki planowej, uwzględniając posiadane przez nie warunki.

W warunkach przedwojennych gospodarstwa drobnorolne posiadały wszechstronny kierunek produkcji, a więc mieszany — zbiorowo-hodowlany.

Ten typ produkcji dla gospodarstw drobnorolnych jest, jak wykazała już praktyka przedwojenna, nieodpowiedni i musi być on w najbliższym okresie czasu zaniechany.

Utworzone nowe gospodarstwa drobnorolne, na których będzie pracowała tylko rodzina chłopska, muszą otrzymać taki kierunek, aby mogły one dać maximum produkcji przy stosunkowo najmniejszych nakładach kapitału i pracy.

Osiągnięcie tego celu będzie można uzyskać, gdy gospodarstwa drobnorolne nastawione będą na daleko posuniętą ściślejszą specjalizację czy to w kierunku produkcji zbożowej, czy też hodowlanej.

Również wprowadzenie postępu technicznego gospodarstw drobnorolnych, może je znacznie powiększyć, a w gospodarstwie typu wybitnie z produkcją zbóż chlebowych lub o znacznej przewadze łąk i pastwisk może nawet podwoić.

Rejonizacja produkcji rolniczej gospodarstw chłopskich, postęp techniczny w obsłudze tych gospodarstw oraz racjonalizacja metod ich pracy, stworzy właściwe warunki funkcjonowania tych warsztatów rolnych i nakreśli odpowiednią linię ich gospodarczego rozwoju.

Objęcie gospodarstw chłopskich narodowym planem gospodarczym, wymaga aby czynniki kompetentne przystąpiły do akcji organizacji gospodarstw wiejskich.

Wykonanie tego zadania należy do Związku Samopomocy Chłopskiej, który jako jedyny organizator i reprezentant zawodu rolniczego, poprzez swoją spółdzielczość, zrzeszenia branżowe i organizacje oświaty i nauki rolniczej, realizuje gospodarkę planową w rolnictwie.

W swoich ramach organizacyjnych, Związek Samopomocy Chłopskiej winien stworzyć przede wszystkim zrzeszenia branżowe, któreby prowadziły akcję organizacji gospodarstw wiejskich.

Różnorodność warunków przyrodniczych i ekonomicznych, w jakich znajdują się poszczególne gospodarstwa wiejskie wymaga, aby akcja rejonizacji produkcji w rolnictwie, była prowadzona przez fachowe organizacje rolnicze, które mogą być stworzone tylko w zrzeszeniach branżowych.

Zrzeszenia te są jednym z głównych instrumentów pracy Związku Samopomocy Chłopskiej w terenie i tylko przez właściwe zorganizowanie i funkcjonowanie zrzeszeń branżowych, będzie można stworzyć odpowiednie warunki dla organizacji gospodarstw wiejskich.

Do zasadniczych zadań zrzeszeń branżowych, należy przede wszystkim prowadzenie daleko posuniętej i ściślejszej akcji specjalizacji w uprawie poszczególnych zbóż i hodowli. Zrzeszenie branżowe, prowadzące na terenie organizację gospodarstw wiejskich, występuje w charakterze nauczyciela i doradcy społeczeństwa wiejskiego oraz koordynatora prac w zakresie znacznego podniesienia wydajności i jakości danej produkcji rolniczej.

Praca zrzeszeń branżowych w organizacji gospodarstw wiejskich, musi sięgać najgłę-

biej w życie warsztatów rolnych danej produkcji i mieć możliwość ustalania najistotniejszych wad, możliwości i potrzeb gospodarczych danej gałęzi branżowej.

Zrzeszenia branżowe prowadzą swoje prace w terenie, za pośrednictwem gromadzkich instruktorów. Nauczanie musi być oparte na stałym i ścisłym kontakcie instruktorów z poszczególnymi zrzeszonymi członkami. Instruktor obowiązany jest z każdym członkiem analizować całość jego gospodarki, omawiać z nim każdy szczegół, ucząc go kalkulacji produkcji; wskazywać należy, jak usuwać dotychczasowe błędy w technice prowadzonej produkcji.

Wybór instruktora terenowego jest zagadnieniem b. ważnym, gdyż od jego kwalifikacji zależy w dużym stopniu powodzenie całej akcji na terenie gromady. Instruktor musi się pod każdym względem reprezentować dookoła. Winien to być dobry fachowiec, zapobiegliwy gospodarz, posiadać powinien zmysł organizacyjny i mieć nastawienie społeczne.

Instruktor gromadzki musi być rolnik danej branży, który posiada swoje gospodarstwo w tej gromadzie. Jego indywidualne gospodarstwo winno mu służyć, jako wzór ogólnego postępu i rozwoju danej produkcji. Gospodarstwo to ma promieniować na całą wieś i być przykładem dla innych gospodarstw. Przez zgłębianie swojego indywidualnego gospodarstwa, instruktor ma możliwość rozwiązywania zagadnień wszystkich zrzeszonych członków.

Wokoło własnego warsztatu rolnego instruktor gromadzki dobiera swoje koło branżowe, które wywiera wpływ, zarówno swoją znajomością w prowadzeniu produkcji danej rośliny specjalnej jak i dobrane prowadzonym warsztatem rolnym.

Instruktor zaznajamia zrzeszonych członków z wynikami osiągniętymi w swoim gospodarstwie, wyjaśnia im jaką drogą doszedł do tych rezultatów oraz poucza, jak pewne zabiegi mogą być wprowadzone w życie.

Do obowiązków instruktora gromadzkiego należy stale zaznajamianie swoich członków koła branżowego, jak winny być prowadzone książki rachunkowe, jak również zaopatrywanie ich w jednakowe odmiany zbóż, nawozów sztucznych, materiałów pomocniczych i wreszcie wspólne przeprowadzanie zbiorów, a następnie i odstawa zebranych ziemliopłodów.

Opierając na tych zasadach pracę gromadzkiego koła zrzeszenia branżowego, sięgamy głęboko w potrzeby i możliwości poszczególnych warsztatów rolnych, organizujemy je planowo i konsekwentnie oraz stwarzamy im zdrowe warunki gospodarczego rozwoju i właściwy kierunek intensyfikacji produkcji warsztatów rolnych.

Tak zorganizowana przez Związek Samopomocy Chłopskiej praca ze wsią w zakresie organizacji gospodarstw wiejskich, stworzy z tej instytucji faktycznie jedyny związek zawodowy rolników, sięgający głęboko na teren wsi polskiej.

Strukturę organizacyjną zrzeszeń branżowych, omówimy w następnym numerze.

KOMUNIKAT

Z dniem 15 marca ustąpił z Komitetu Redakcyjnego „Wsi” ob. ob. Kałużyński Zygmunt, Lichański Stefan i Pięta Stanisław.

W OSTATNIM 13 (92) NUMERZE „WSI” z dnia 30 marca 1947 r.:

Konkurs na ankietę: „Moja droga do szkoły rolniczej i ze szkoły rolniczej do wsi”; Roman Szymanko — Kapitalizacja rolnictwa; Stanisław Cieślak — Obrót artykułami rolniczymi; Bronisław Majteczak — Dwie drogi; Stanisław Witowski — Z pamiętnika wiejskiego nauczyciela; Henryk Syska — Jakób Bojko; Stefan Stanisław Gębala — O Domu Ludowym; Józef Pogan — Smutna rzeczywistość; Marian Minias — Podstawy istnienia gminnych szkół rolniczych; Leonard Sobierajski — Gdy zostały złożone podpisy; Wiesław Jazdzyński — Czemu kręciłem nosem; Fakty i zdania, komunikaty. 2 ilustracje. 8 stron.

Jan Aleksander Król

DZIEJE „BARABASZA”

List otwarty do Józefa Ozgi—Michalskiego

1) SYN CHŁOPA-EKONOMA

Józku!

Chce Ci przedstawić sprawę Barabasz. Mielśmy o nim przez długie miesiące ustalona opinię. Dzielnym zagonczyk partyzancki, ale pan stał się mu to, że batożył chłopów, kiedy wykradł zrzut angielski, przeznaczony dla dowództwa AK, kiedy wykradł go dla „jakichś — jak mówił — Batalionów Chłopskich”. Pamiętaliśmy mu i to, że kiedy na Osieku wchodził z naszym sztabem w porożeniu co do wspaniałych akcji bojowych przeciw Niemcom odcinał się twardo od rozmów politycznych. Nie chciał się solidaryzować, nie chciał o tym gadać ani z Toba, ani z mną ten, młodszy ze wspólnego gimnazjum kolega, ten chłopski rzecznik syn. W 45 roku nie utrwalił się. Wiedział, że ukrywa się z częścią podziemia AK, potem słuch o nim zaginął. Na kilku zjazdach wymieniał jego nazwisko. Służyło Ci, jako tragiczny wzór tego typu partyzanta, który w walce z okupantem umarł odcinał — jak za chłopnie przesadzili — odcinał sobie drogę do nowej Polski.

Józku! znam już dzie „dzieje Barabasza”. Nie kończą się z tym momentem, w którym Ty warknałeś „zniknął jak kamień w wodzie” i nie zaczyna się z echem pierwszych walk w puszczy świętokrzyskiej i batożenia chłopów w Ogledowie i innych wsiach.

Posłuchaj! Barabasz pochodzi z Gnojna, ze wsi na podświetokrzyskim szlaku. Wieś należała do rządu tych, które do ostatnich czasów nie wypłatały się z zależności od dworu. Folwark był nie wielki, ale i obok wspaniałego pałacu w Chrobrzu, margrabiów Wielopolskich, dziś jeszcze można oglądać od samych murów zaczynająca się wieś — ściśnięta, chatynkowa, brudna, bezdrożna. Tu się urodził Józef Morton. O dwa kroki od pałacowej bramy. Nie raz pewnie, wyrostkiem będąc, przykładał do żelaznych pretów głowę, aż póki brytany nie odpędzili malca, zostawiając w nim lek i nienawiść. Dlatego w pierwszej noweli „Spowiedź” serce ludzkie nkażał u nędzarzy wykołojonych ofiar systemu kapitalistyczno — mieszczańskiego. To byli ci, którzy mu pomogli „wejść w naród”.

W rodzinnej wsi Barabasza punktem zętknięcia była sadzawka, gdzie pławiono dworskie i chłopskie konie gdzie on sam taplając się z rówieśnikami zdobywał świerzbę i liszaję. W tej poddworkowej wsi ojciec Barabasza uzyskał wyróżniający awans. Został ekonomem. Stało się to jeszcze przed urodzeniem się Barabasza. W pierwszych latach dzieciństwa podniesiono jego ojca do godności — rządcy, a jeszcze później do tytułu administratora Urzędu i starał się o to w oczach chłopów, ale w stosunku do dworu pozostało wszystko po staremu. Dziedzic mówił mu nadal „Michale”, a on „jaśnie panie”.

Pan administrator nosił „wydęty” tytuł, Barabasz w jednym z gimnazjalnych wierszy pisze wszak:

„a drogami na Kielce jechał ojciec wozem, by zdażyć na czas odstawić kadzie z okowita, powiazane do drągów dębowym powozem”.

Pan administrator sztukował budżet domowy wychowem gesi, i prosił na swojej siedmio — morgówce. Ale już był przeszerogowany społecznie, już jego przwiacielcem stał się młynarz, któremu zwierzał nadzieje i zamiary co do 9-cioroga swoich dzieci. Mawiał zazwyczaj: „nie chce aby służyły jak ja u kogoś...”. Poczem tym gorliwie zabiegał około chłewa i kurnika. Dla małego Barabasza oznaczało to zwrot w życiu. Zakazano mu chodzenia nad sadzawkę, bawienia się z folwarczami. Posłano sześciolatniego na plebanie, na naukę ministrantury. Przybyła mu w ten sposób trzecia ręką do całowania. Dwie pierwsze należały do dziedzica i dziedziczki. Proboszcz był stary, siwinięty, z nikim poza dworem nie utrzymywał stosunków. Mały Barabasz prawie zamieszkał na plebanii, służąc codziennie do rannej mszy, a w niedziele, przez cały dzień do sumy i nieszpór. Wracał wtedy w konny do domu. Dawni towarzysze z nad sadzawki patrzyli nań z niemym podziwem i kiedy rozstępowali się, aby go przepuścić, do konwował się jeszcze jeden uroczysty, choć świecki już obrzęd podziału społecznego.

W szkółce wiejskiej pozycja Barabasza została określona właśnie przez ten podział. Na akademiach kierownik szkoły jego ubierał w paradny strój Beliniaka i iemu powierzał deklaracje o ulanach, iemu powitał starostę. W tym czasie ojciec Barabasza rozszerzył krąg swoich przyjaciół: jest nim już i gorzelań i kierownik szkoły (pilsudczyk). Tam przesiadywał mały Barabasz a nawet — czysty teraz i układny — przestępował progi dworu, aby posłuchać pierwszego w okolicy radia. Było wiadome, że pójdzie do gimnazjum. Zdażył jeszcze przeczytać „Robinsona Kruzoa” i „Chata wuja Toma”.

Poruszyły go obie książki. Ale tylko jedna z nich wyznaczała przyszłość. Nie była to „Chata wuja Toma”, był nią angielski wzór człowieka na dorobku z epoki wczesno — kapitalistycznej. Robinson na wyspie jest sam, ale narzędziami z rozbitego okrętu (ze światła rosnącej cywilizacji technicznej) dorabia się wyłącznie dla siebie standardu życiowego. Jakiego wzór z Anglii zachował w pamięci. Książka ta przekonywała, jak wiele potrafi osiągnąć człowiek... sam... dla siebie. Mały Barabasz był już wówczas jak Robinson na wy-

spie — osamotniony. Do przeszłości należały wspólne z chłopakami jazdy na krze, do przeszłości — jak oni to czynili — z wiosennych witek wierzbowych wycenianie piszczałek i marsze przez wieś w tej wspólnej dziejecej orkiestrze.

Pojechał w r. 1930 na egzamin gimnazjalny do Kielc.

2) PIERWSZE LATA GIMNAZJALNE

Pierwsze miesiące w Kielcach przyniosła małemu Barabaszowi nie mało upokorzeń. Syn „administratora” w rodzinnym Gnojnie tu traktowany jest po prostu jako syn chłopski. Koleżdy mają teckiz, skórzane tornistry, on książki owija w wiejską chustkę. Oni są dobrze ubrani i odżywieni, przyprowadzają ich rodzice lub służba, on mieszka u jakiejś „przedsiębiorcy” na stacji o 8 łózkach w po-



Kapitan W.P. „Barabasz” (Marian Sołtysiak)

koju. Ale z tego powodu wcale nie odnawia się w małym Barabaszu wspomnienie „Chaty wuja Toma”. Był przecież w życiu „nadany” — inaczej Józku, niż Ty; Twój ojciec, radykalny działacz ludowy, stwarzał inny klimat rodzinnym, niż jego ojciec, awansujący w tradycyjnym systemie społeczno-politycznym.

A nowe środowisko Kielce — Kleryków, ów parnas prowincjonalny — musiało go upewnić, że życie wymaga obcałowania wielu jeszcze nowych rak. Ze drabina awansu społecznego jest gotowa i niezmienna, że miarę naszym wartościom nadają oceny tych, którzy na jej szczeblach pełnią rolę sędziów i klasyfikatorów.

A „sędziowie” w Klerykowie, należeli do tej samej hierarchii, której system urabiał małego Barabasza już na wsi. Miasto miało świętą przeszłość, nie miało przyszłości. Kielce — jedna to z najstarszych rezydencji biskupich. Najstarsze miejsce popasu i targowiska w krainie leśno-rolniczej. Tedy kunicy angielscy przejeżdżający z końcem w. XVIII, zdają relacje o Polsce, jako krainie lasów. Tedy, niewiele lat potem, Staszyc chce utworzyć drogę przemysłową. Ale mały Barabasz nie przybywa do miasta przemysłowego, nie przybywa do ośrodka dużego handlu. Miasto żyje ponad stan z tytułu wysokiej pozycji administracyjnej. Wojewódzkie urzędy gimnazja, seminarium duchowne tworzą jego sztuczna nadbudowa bez gospodarczych podstaw. Miasto ma dlatego nadprodukcję inteligencji tego typu, dla którego Polska była wyłącznie „idealnym dobrem duchowym”. Urzędniczym cierpliwie i bez zaniepokojenia administrowali majątkiem nędznych zacofanych miasteczek, podatkami z „naturalnych” i nieopłacalnych gospodarów chłopskich i z uprzywilejowanych dworów, milionami długów zalegających w kasach skarbowych. Książę i nauczyciele administrowali duszami, strzegąc wierności i wychowanków przed „miazmatami wschodu”, przed „wicek-socjalistami”, „gudłajami” i „chamami”.

W latach niższego gimnazjum zasługują na zanotowanie w życiorysie Barabasza trzy fakty. Pierwszy: z szeregowym zamiłowaniem wczytywał się w Curwooda, Lordona i Conrada. Była w tej lekturze przyroda, coś, co wiazało się z jego dzieciństwem. Były przygody, co psychologicznie tłumaczy okres 12—16 lat. Ale była również określonego rodzaju galeria bohaterów, nie „socializujących” — samotnych wewnętrznie. Jak u i. on — dora interesownych, zdobywczych, na dorobku, przyszłych milionerów. Świt amerykańskiej, parweniuzowskiej prosperity. Jak u Conrada — bohaterów na służbie u wielkich armatorów angielskiego, światowego kapitalizmu. Urzeczony „honorem” zawodu, wiernością „służbie” hodują w sobie specyficzne osamotnienie. Nie gonia za udziałem w zysku ich mocodawców ale: nie walczą z nimi na czelnie wyzyskiwanych przez tych armatorów. Ich wierność „samemu sobie” jest tragiczną kartą w historii klasy inteligencji, kiedy ona obiektywnie pełniąc rolę kondotierów i pretorianów w systemie kapitalistycznym, subiektywnie wdziała w tej roli pole do zrealizowania absolutnych, formalnych wartości moralnych.

Drugi fakt: Barabasz czynnie wyzywa się w harcerstwie. Bóg, ojczyzna, honor! Ideale te historycznie i społecznie nie są w związku sprzeczowane. Wyraźny natomiast jest egulamin służby i awansowania, a Barabasz ma ambicję wyróżnienia się i przodowania.

Trzeci fakt: „Pilnie i chętnie poznawałem historię taką, jaką mi podawano. To były dzieje mego narodu, rycerskiego Narodu”!

Czyż to wychowanie nie było wychowaniem do opóźnienia dziejowego? „Klasycy” światowi cofali Barabasza do startu w epokę businessmana i gentlemiana, spolszczony skauting angielski przesłaniał klasowy charakter stowarzyszenia młodzieży. W Anglii był to wszak ruch młodych gentlemanów, podejmujących krucjate weekendową. Polska, jako naród rycerski, nie była Polską współczesnych problemów.

Józku, to opóźnienie historyczne w wychowaniu trzeba mieć na pamięci, aby zrozumieć Barabasza „apolityczność”. „Życie polityczne?” — pisze — nie znałem właściwie tego pojęcia — to była sprawa starszych. Zresztą, polityką w tym czasie zajmowali się socjaliści, a ja ich potępiałem w czambuł, bo potępiał ich dyrektor gimnazjum”. Dyrektor był pilsudczykiem, o marszałku mówił ze wzruszeniem, na Barabasza miał oko. Wyróżniał go za zdolności i za... rodowód. Droga Barabasza, wyznaczona mu przez ojca, prowadziła wszak do asymilacji z górującymi siłami społecznymi. Tak to gimnazjum imienia Zeromskiego miało stworzyć z chłopskich synów sanacyjnych naprawiaczy, tak to gimnazjum imienia St. Kostki miało chłopskich synów przygotować na plebanów, wyklinających Wiciarzy.

CHŁOPSKI CZY PAŃSKI „POWRÓT W LUD”?

W liceum zaczęliście pisać wiersze. Przed laty już ojciec Barabasza czuł się „administratorem”, teraz syn, kiedy w wierszach wspomina dom rodzinny, „szlachectwo” darzy go sentymentem. Tureckie bzy pod oknem i sad oto ornamentu domu. Jeśli deszcz zaczyna, to od strony dworu, jeśli śnieżyce zawiady drogi to — w ciepłym pokoju w gruncie czterech ścian — szczenięta na prog, a w wawożie „ze strzelbą na icołenie słucha rogu Rafała”.

Działa równocześnie drugi wpływ — Skamandrycy — Tuwim i „kawalerski” Wierzyński. Młody Barabasz jest w sposób szczególny gotowy na skamandrycki witalizm. „Czuje to, że żyje mym życiem bez jutra jak ognik, zwodniczyn”. To nie tylko liryczny głos 18-ku dojrzewających lat. To jest również głos Juliana Sorela z „Czerwone i czarne” Stadhala. Po zduszonej namiętności dla zdolnych Julianów ze wsi pozostawała we Francji układna kariera pod sutanną albo mundurem. Zawodowa doskonałość i społeczna lojalność wobec burbońskich Mł. Zatem — pustka życiowa.

Skamandrycy Barabasza rozgrzeszają. Wypleniają mu „dziś bez jutra”. Tak powstają



Czoło kolumny oddziału „Barabasz” lato 1944.

„Pieśni szaleńcze”, w których „śmiech — to demokracja”. Ten śmiech pozwolił mu w niepamięć puścić manifestację pierwszo — majową z 1937 r. w Kielcach, gdzie na bazarach, padł robotnik od kuli policjantów. Barabasz widział tego robotnika górującego nad tłumem. Słyszał pierwszy raz w życiu ochryplym głosem wykrzywane zdania o prawie ludu i wyzysku kapitalizmu. Z gimnazjum o tym nie wiedział. A potem padły strzały, tłum rzucił się w ulicę, pałki policjantów na głowach uciekających, plac opustoszał, został jeden zabity, dwóch rannych... Nawet utkwił mu w głowie na pewien czas ów wypadek, ale nie zmienił poglądów. W wierszach późniejszych, z mottem Wierzyńskiego („wivat trans wariata”) młodemu demokracji wraca humor: „krzycz, kiepski durniu: łącz się proletariacie!”.

Nowy wpływ — Burek i Wiktor, frontem do wsi! Ten wpływ umiejętnie organizowała sanacja. Wszak czoraz częściej były wypadki, że najzdolniejsi uczniowie okazywali się pochodzenia wiejskiego. Tak było i w Kielcach, w waszej klasie, Józku, nieprawdaż? Warto porównać deklarację ideową „Wici” z 31 r. z deklaracją „Siewu” z 33 r. Pierwsza jest formułowana politycznie. Obstał się w niej za modelem deklaracji liberalnej, opartej na podstawie wolnych zrzeszeń, brońniac w ten sposób wsi przed faszystowską pół-dyktaturą. Podkreśla się odrębność środowiska wiejskiego, aby uprawomocnić samodzielne poczynania warstwy chłopskiej.

Deklaracja „Siewu” politycznie jest pusta, tzn. podporządkowana polityce ziemianko — kapitalistycznego rządu. Prześciga natomiast „Wiciową” w kulcie ludowości. „Rozpowszechnianie kultury wiejskiej we wszystkich jej dziedzinach, a w pierwszym rzędzie literatury, sztuki teatralnej, zdobnictwa i kultury życia codziennego” staje się tu zadaniem naczelnym. Jaki — sanacja popierała „chłopskość”? Oczywiście, czerpała z półwiekowego doświadczenia ludomani, zaczynając od zasłużonego zbieracza pieśni i legend ludowych, Kolberga, który w r. 1870 wyrażał żal, że chłopci zostali wyrwani z „dotychczasowego żywota skupionego pod zamkiem lub dworkiem, jakoby piskleta spod skrzydeł wspólnej macierzy”. Skutek zniesienia pańszczyzny był taki, jego zdaniem, że „nadał całemu obrazowi cechy osady pogodnej wprawdzie i zabiegłej, ale zarazem prozaicznej, pospolitej i wielce oko jednostajnością swą nużącej”. Do tradycji takiej ludomani nawiązywała sanacja, schlebając kulturalnemu konserwatywnemu chłopskiemu, aby, przez jego wzmoczenie podtrzymać zacofanie gospodarcze i społeczno — polityczne wsi.

Odnawienie kultury ludowej miało „osiągnąć własny wysoki poziom, zgodnie z państwową racją stanu”, aby przygotować wieś „do zajęcia właściwego miejsca w państwie”.

Otóż państwowa racja stanu była antychłopska, bo ziemianka, bo kapitalistyczna. Propaganda „pawich piór”, „słowiańskich dożynek”, słowem „włażenia w korzenie” w efekcie miała dać dobrowolne uznanie przez warstwę chłopską takiego miejsca w państwie, na jakie poplegnowane w niej zapóźnienie cywilizacyjne pozwoliłoby, do znaczącego uznania miejsca nadal służebnego.

Barabasz „upijający się” myślą „powrotu w lud”, („na razie tylko głosiem”) głosił to hasło, rozbudowany i kierowany inspiracjami sanacji, ściślej — ojca, który go odbił od wsi, gimnazjum, które wyjątkowo w nim potrzebę świadomej polityczności. W takim stanie rzeczy „duchowy powrót na wieś” nie wiele się różnił od podobnych powrotów ziemiańskich ideologów.

Sięgnijmy po klasyczny przykład. Oto miesięcznik: „Ziemiańska polska” z roku 1935 (Nr. 7) Kasztelanika pewna dowodzi tam: „kontakt z przyrodą przywraca człowiekowi jego pierwotny, prostoliniowy, spokojny światopogląd, wypaczony często i wytracony z równowagi przez materialistyczną cywilizację dzisiejszą..”.

Ludzie wsi mają w sobie święty spokój ziemi, jej ułność, poczucie ładu i umiaru..

...Gdy się leży w trawie z twarzą zwróconą ku niebu w senną, skwarną ciszę południa, dziwnie maleją i błędna nawet wielkie i ważne zdarzenia... Ośmielam się twierdzić, że nie jest godnym wsi, kto kocha ją tylko w słońcu i w lecie, a nie rozumie w listopadowy słotny dzień, kto nie umie zachłysnąć się radością wiosennego wiatru..

Pierwsze poznanie z morzem, pierwsza podróż w góry, to wrażenia niezapomniane..

Dla ludzi, którzy naprawdę współżyją z przyrodą, przyłot kosa, czy wilgi jest — bez przesady — zdarzeniem ważniejszym, niż sensacyjne wiadomości z ostatniego wydania dzienników..”.

Oto jeszcze jedna deklaracja ludomani, klasycznie ziemianka, klasycznie sanacyjna. Kasztelanika „spokojny” światopogląd wsi uzyskuje przez wysmakowanie po 1) wszelkich uroków przyrody, po 2) wegetacyjnego trybu życia chłopów. Deklaruje więcej sobie ważący sennosc o południu w trawie, albo oglądanie wilgi, niż największe wydarzenia, o jakichby doniosły pisma. To są sensacje, którymi się ta próżniująca kasztelanika, mając folwark, pałac i konie do wyjazdu, bogactwa właśnie „materialistycznej cywilizacji”. Dla tych wyrafinowanych kontaktów z przyrodą i wieś winna zachować ten sam „święty spokój ziemi”.

„Święty spokój ziemi” dla ziemian z folwarku, z pozycji rządzących i „święty spokój ziemi” dla rządzących nędzarzy chłopów.

To był program nie tylko estetyczny, to był również program polityczny. Poezje wiejskie Barabasza ten właśnie program kształtuje.

„Chciałem płatk: śnieżyste na ręku zatrzymać”

„O, wytarty ze śladów człowieczeństwa, chłopie”

„Stare, pobenedyktynskie kościoła ruiny cichy szelest strumyka: pacierz monotony”

Nauzcz, że się chłopie kochać „święty spokój ziemi”!

Kiedy przyjechał do Kielc W. Burek i Jan Wiktor „szaleliśmy” — notuje Barabasz językiem Wierzyńskiego. Dyrektor był grzeszny i owacyjny. „Spacer przez wieś” nie mógł zaszkodzić jego wychowankom. Wzruszenia prelegentów miały te samą skazę czułościowej egzaltacji, co wzruszenia ich słuchaczy. W nowym wierszu Barabasza przybyła strofka:

„w uścisku rąk opuchłych — twarz z niedzwyżłą wyblakłą
daj mi dziś ucałować, tak święta, srogą!”.

Ucałował i przeszło mu. Nie przeszło jednak „przeróżenie”, jakie Ty w nim wywoływałeś Józku, swymi poglądami, choć z jednej czerpalisz beczki. Pisałeś gwarą, nosiłeś się z chłopką, w imięj koszuli. Te estetyczne elementy kultury chłopskiej były dla niego zbyt serio. Wychodził z terenu i manifestowały groźnie przeciw wytwornemu upajaniu się wsią. Według Barabasz Tyś, „już wtedy mówił jak rewolucjonista”. Cytuję z jego pamiętnika: „Głównym Jakuba Szele — tego, w którym ja widziałem uosobienie bandytyzmu i zdzierstwa. Nie zbliżałem się do Ozi. Ja byłem lojalistą. Szanowałem władzę, porządek i stał istniejący. Byłem zawsze karny i zdyscyplinowany, bez skłonności do analizy poczyni starszych”.

To są ostatnie miesiące przed maturą. Barabasz odbył w ciągu ośmiu lat drogę, jakiej nie przewidział Żeromski. Radek stał się Borowiczem. Ale dla pełnego obrazu trzeba dodać, że w tej drugiej licealnej Tyś terminował u Ignara, który wówczas obok Drzewieckiego reprezentował radykalną lewicę wiciową. Pisywałeś pod pseudonimem do „Wici”. Trzech kolegów aresztowano za „komunizm”, owszem była taka idea, oderwana komórka, obradująca nad smetną Siłnicą. Była i pułkownikowska grupa. Herbowe syny wyższych oficerów, był i taki, któremu prezydent potwierdził rodowod kszyczej z XVI wieku. Obliczmy zatem: od komunistów Barabasz — lojalista (syn administratora — chłopca) trzymał się zdala, od Ciebie — rewolucjonisty, również. Czyż nie był zatem skazany na zbliżenie do „pułkowników”? A raczej do ich legendy i politycznego reżimu, bo onj sami, bo conajmniej, niektórzy z nich, odbili z drogi, na jaką pchała ich tradycja macierzystego środowiska.

4. WOJNA — OWOCE „LOJALIZMU”

Po maturze idzie Barabasz na ochotnika do podchorążówki. W pułku umiał „utrzymać ten konieczny dystans między strzelcem a kandydatem na oficera”. Prosto z podchorążówki na wojnę. Wisła, Bug spowrotem pod Zamość. W bitwach zostaje odznaczony Krzyżem Walecznych. Potem... łamie broń. Transport, ucieczka i powrót pod Kielce. „Kłęski nie mogłem pojąć przez długie lata okupacji”. Jak ja mógł, Józku, zrozumieć, ten „apolityczny” oficer? Uważa się nadal za oficera w czynnej służbie. „nikt mnie nie zdembolizował”. 11 listopada 1939 r. przyjmuje pierwszą przysięgę od zwerbowanych konspiratorów, ale szuka kontaktu z kimś autorytatywnym, „kto swą powagą pokryłby naszą robotę”. Kontakt łapie — jest „szczęśliwy”.

A potem — kolportaż z Warszawy na Okręg. Wyspa. Teraz z Warszawy na Wrocław i Opole. Stąd we włoszczońskie — redaguje gazetkę. Sandomierskie — szkolenie, dołowanie szpiczów.

W marcu 1943 r. z rozkazu formuje oddział 20 ludzi. Pod koniec roku ma 50 ludzi, jest już sławny w okolicy. Skład oddziału? Przeważnie inteligencja. Paru socjalistów, paru „pałkarzy” — ogół to chłopcy wprost z gimnazjum „dla których rozkaz był celem i metodą. To było naturalne. To była ciągłość naszego wychowanie”. Pokolenie urodzone w dniach „cudu nad Wisłą”. Oddział „apolityczny”, dyskusje rzadkie i bez przekonania.

Ale przecież podlegali apolitycznie dowództwu wojskowemu, ono „rządowi”, a rząd stał w konspiracji i partyzantce swoje wyznaczenie wiary. „Orka” kwiecień 42 r. — „wypowiadamy się w zasadzie za utrzymaniem prywatnej własności środków produkcji i dążyć będziemy do jej ochrony”. „Przez walkę do zwycięstwa” 20.10.43 r. „Armia Ludowa to rosyjska dywersja w Polsce. Udział Polaka w politycznej lub wojskowej dywersji na rzecz Rosji byłby zdradą narodu i państwa polskiego, podobnie jak zdradą była i jest akcja volksdeutschów”.

Barabasz pisze: „Zajęci byliśmy tylko walką. Sprawy propagandy zostawiałem odpowiednim czynnikom”. Ale znaczy to tylko, że w szczeliny postojów wdierały się wieści w najmniejszym stopniu nie kontrolowane. Przekonani o własnej apolityczności, politycznieli do gruntu.

Wiosną 1944 roku odbiór pierwszego zrzutu. Skoczyli ludzie. Dowódca ekipy ucałował ziemię i zdławionym głosem powiedział: „Wczoraj widziałem się z Naczelnym Wodzem, przesyła Wam żołnierskie pozdrowienia”. Dostali broń i pieniądze, instruktorów. „A najważniejsze — to był symbol. Z Londynu oczekiwaliśmy sygnału”. Otóż ten Londyn nie był w ich wyobraźni wypełniony tylko rzeczowymi i formalnymi treściami wojskowymi. Przeciwnie, owe propagandowe, bokiem chwytywane ulamki, one to tworzyły ów zasadniczy mit Polski, któremu oddawali się w niepodzielnej władze.

Jak to był mit? Oglądajmy go w związku z Barabaszem. Pisze on: „Kontaktu duchowego ze wsią nie miałem choć oparcie mieliśmy właściwie tylko na wsi. Współżycie ze wsią było powierzchowne. Zajmowaliśmy kwatery a co myślała ludność miejscowa, to nas nie interesowało”.

Ziemianka polska w r. 1935 również nie interesowała się tym, co myśli wieś, szukała estetycznych przeżyć, dla nasycenia których brała ze wsi „święty spokój ziemi”!

Barabasz otrzymuje rozkaz odebrania „za wszelką cenę” broni zamienionej ze zrzutu londyńskiego, która zbrojna grupa chłopska wykradła. Rozkaz! Za nie wypełnienie rozkazu rozstrzeliwał winnych we własnym oddziale. Trafia na ślad. Spotyka na opór. Batoży jed-

ną wieś, drugą, trzecią. W czwartej, w Oglądowie, przyjmuje go ogień z karabinów maszynowych. Batożenie przerwa. Barabasz wycofuje poszczerbiony w ludziach oddział. W połowym notatniku zapisuje: „Nie byłem kacykiem — nie mściłem się. Ale ludność zraziłem do siebie”. Oto wióry z gimnazjalnego hasła „powrotu w lud”.

Co dla ziemianki było przyjemne, winno być przyjemne i dla chłopca. Co zarządzało dowództwo AK, winno być świętością dla wsi. Ale ta anemia miała być zbrojnym ramieniem Polski, która gwarantowała prywatną własność ziemianstwu i kapitalistom w 42 r., która w 43 r. przyszłemu parlamentowi powierzała rozstrzygnięcie przejęcia ziemi i przedsiębiorstw za odszkodowaniem, czy bez. To była Polska odnawiająca jak w latach 18 — 25 obłudną grę ustępstw przy nie przerwanej walce z ludem, Barabasz entuzjasta „powrotu w lud” wszedł w bratobójczą z nim walkę w imię rozkazu, w imię wierności służbie. Zraził wieś — ale „nie dbałem wtedy o to. Nie liczyłem na wojnę ideologiczną”.

Jakże miał liczyć ten partyzant — chłop, kontaktu duchowego ze wsią nie mając od lat? Po drugiej stronie został organizator zamachu na zrzut Aleksander Liszaj, sprzątnięty konsekwentnie przez nowy rozkaz i innego wykonawcę. Tak to Barabaszom zostawały w ręku elementy z planu, realizowanego „za wszelką cenę”. Wstrząsy, które przechodził, nie odstałaniały im całej prawdy, a tylko niepokoiły, tym bardziej każąc oglądać się na „sygnały z Londynu”.

Barabasz jest żołnierzem walczącej Polski. Tak określone stanowisko zawiera w sobie nie tylko treść bojową, również — ideologiczną. Wyraża się w nim odłożenie na później decyzji społecznych ale i wymuszenie na własnym ośrodku dyspozycyjnym przede wszystkim walki o wolność. W stosunku do obu stron to samo — ograniczyć szanse działania politycznego na rzecz zbrojnego z okupantem. O tyle Barabasz wyróżnia się wśród dowódców partyzantki. Odwleka społeczny problem Polski. Nie jest dlatego najlepszym narzędziem w rękach patronów politycznych. Zbyt serio bierze do serca hasło — „bić się”. — W jego sytuacji — zagonczyka, nie wywiadowcy, osłabienia nie pogłębiają zależności osobistej od obozu, któremu służy. Przeciwnie, Barabasz mający na swoim koncie 28 większych potyczek z Niemcami (w dwóch padło 100 i 200

Niemców) „emancypuje się” w opinii władz, dostaje dlatego wraz z Krzyżem Walecznych (po raz drugi) aniola stróża. Ale czas jest gorący i anioł stróż bardziej interesuje się ocaleciem własnej skóry.

Nowy wstrząs. Barabasz styka się z naszą „Brygadą Grunwald”. Najpierw zrzut oficerów polskich z Berdyczowa. Potem dosłownie oddziałów AL-u i BCh. Zrzuty broni, Barabasz notuje: „rozrosli się w siłę”. Rzeczywiście, w parętyśięcna siłę. Dowódca wojskowy stamtąd, dowódca polityczni stąd, Barabasz — żołnierz współpracuje z nami bojowo. Wypożycza od nas ciężkie karabiny maszynowe z obsługą, materiał wybuchowy. Staje do wspólnych zasadzek. „Ale w załadniczych punktach różnił się. Ja miałem swoich przełożonych, a ich — mówięm im wprost, Rosja przysłała”. Czy i to stanowisko było czysto wojskowe? Czyż w nim nie odzywa się echo zarządzenia „Udział Polaka w politycznej lub wojskowej dywersji na rzecz Rosji byłby zdradą narodu i państwa polskiego”? Czytał je Barabasz z końcem 43 r. Życie w kraju miało swój bieg. Latem 44 roku został już zdrajca z paragrafu wojskowego. W stosunku do paragrafu politycznego był jeszcze w porządku. „Ja lojalista nie mogłem pojąć tych spraw. Trudno zmienić poglądy nabyte w ciągu dwudziestu kilku lat”.

A potem, potem rozkaz z akcji „Burza”. Koncentracja na Warszawie. Wielkie marsze o 30—40 km od frontu. Spotkania z innymi oddziałami. Partyzancki front ruchomy. Masa upewnia o słuszności ideowej. Wielkie wzniesienie duchowe tuż przed załamaniem. Marsz wstrzymany — „zapóźno”! Spowrotem do punktów, 79 godzin odwrotu bez posiłku. Rosnący niepokój. „Stamtąd oczekiwałem rozwiązania, które nigdy nie nadeszło. Musieliśmy teraz myśleć sami, a dotąd tylko słuchałem, doskonale wykonując zlecane zadania”. Wreszcie przyszedł rozkaz rozwiązujący Armię Krajową: „Każdy dla siebie niech będzie dowódcą, a motywem postępowania: dobro Polski”. Czytałem to i nie wierzyłem, któryś z kolegów wybuchnął płaczem. Taki moment przeżywałem już raz w życiu. Było to pod Zamościem w 1939 roku. Historia znów przetoczyła się po nas. Już wtedy byliśmy epigonami dziejów”.

„Każdy dla siebie dowódcą, motywem postępowania: dobro Polski”. Ale przecież w ciągu tych kilku lat „dobro Polski” zostało

określone Barabaszom. Formuła była mętna i dwuznaczna. Na Barabaszów przyszyły najcięższe terminy. Dano im wolną rękę, ale nie odwołano mitów, w jakie ich zakłęto. Zostawieni sobie, rozumieli, że apeluje się do ich honoru, do rozstrzygnięcia, dobrowolnej próby wierności..

„A przecież było wujście. Co mnie różniło z takim Łokietkiem, Broniczem czy Wiśliczem? Chyba tylko znaki”.

5. „Z LUDEM W NARÓD”

Pierwsze miesiące 45 roku — pamiętasz Józku, Lewica nie ufa. A dowódcy oddziałów Armii Krajowej przeżywają tragiczne rozdarcie. Jeszcze nie odnawia się podziemie AK, ale Barbasze sami siebie stawiają poza nowym prawem. „To była konsekwencja zdrażenia. Życie przewało się wciąż nad nami. Nowe instytucje, nieznanne, obce — nowe kategorie”.

Tyś, wtedy, Józku, pomstował na Barabasz — to była logika działania po naszej stronie. A Barabasz wówczas — ukrytego — walał z nóg nowa oszalamiająca sytuacja — to była logika rzeczy po tamtej stronie. Czy wiesz, że na wieść o przybyciu Mikołajczyka, wyjeżdża do Warszawy. Jest jednym z tego tłumu, który witał szefa Rządu Londyńskiego. Przywiodła go tu ostateczna prostracja. Za ostatnie pieniądze kupuje kwiaty i rzuca w pobliże „Sygnału z Londynu”. Dlaczego to czyni? Z entuzjazmu, ze wzmożonej pewności? Nie! Te kwiaty to — zakłęcie! Od Ciebie dostawaliśmy zrzuty. Coś z nami zrobił? Wytłumacz? co mamy czynić? Buduj most! Nie igraj naszym „honorom”. Honor był jasny, kiedyśmy nie widzieli nowej rzeczywistości. Ale teraz...

Barabasz w ciągu pół roku nowej Polski myślał. Musiał myśleć. Rozumował. „Lewica doszła do władzy. Nie doszliśmy my. Mają władzę i rządzą. Nie są kiepskim gospodarzami. No więc po co walka z nimi?”

I dlatego pierwszy raz w życiu zachował się nie zo żołniersku. Kiedy w lipcu poleciono mu rozbić więzienie w Kielcach — odmówił wykonania rozkazu.

Szukaj go w tych tygodniach na Śląsku. Urodził mu się syn. Noś go całymi dniami na rękach, cieszy się żoną. To też nowa rzeczywistość. Górnicy ruszyli właśnie kopalnie. Kiedy się Barabasz rodził, jego ojciec wiedział, kim zostanie syn. Na los dziecka miała wpłynąć rodzinna pozycja ojca — administratora u „jaśnie pana”. Barabasz wpatrując się w synka nie wiedział czego dla niego pragnąć. Ale rozdził mu się wtedy, kiedy górnicy ruszyli po raz pierwszy uspołecznienie kopalnie.

Józku, tu jeszcze nie koniec opowieści. Sprawa Barabasza to nie wsiąkanie w nową rzeczywistość, nie rozpuszczenie się w niej. Co powiesz, zostawia dziecko i żonę. Zbiega za granicę. Korzysta z etapów, przez które płynie nurt „dzieł w Anny”, andersowskiego i angielskiego wywiadu nurt odnowionego podziemia. Dobija do Paryża. Przyjmuje go w Misji Wojskowej kpt. hr. Ledóchowski, w otoczeniu również hrabiów.

— Wasz stopień?

— Kapitan Barabasz —

— Chodzi mi o przedwojenny stopień.

— Podchorąży kapral.

Tak zapisuje. Barabasza to osobście nie boli, ale widzi problem. Oto ważyła się i taka gra. Czyja miała być większa sława: żołnierzy z Zachodu, czy partyzantów z Kraju? „Broń u nogi”, to ubezpieczenie przeł własną Armią Krajową. Kraj był w rachunku, jako przedmiot, nie jako podmiot.

Dalsze pytanie — po co robiliście powstanie warszawskie?

— Jakto — to my byliśmy wykonawcami

czyjejś decyzji. Ona powstała przecież tu, po waszej stronie.

Teraz Barabasz pyta. — Dajcie mi ocenę sytuacji na czas na jaki Was stać. W kraju są ludzie, którzy w was widzą jeszcze symbol, ale oni żyją w nowych warunkach, a wy tu w wygodnej pozycji wymierającej emigracji. Czy chcecie mieć ludzi z kraju nadal na sumieniu? Albo oddzielcie się zupełnie od wpływu na kraj, albo przyznajcie się do kompromitacji na całej linii.

Ocena hr. Ledóchowskiego była następująca. Wszedł służbowy — „wyprowadzić podchorążego kaprala”!

Jedzie do Londynu. Rozmawia z pułkownikiem. On by też chętnie wrócił — ale jeszcze poczeka. Po coście tu przyjechali? Wszyscy tu mamy dość swoich kłopotów.

— A kraj?

— No przecież macie wolność!..

W „prywatnym” Londynie rozkład, Czyta pisma. Ale frazeologia o zaprzędaniu się Rosji jakże ma chwycić tego człowieka z kraju. Ma wreszcie pełna odpowiedź „my, z podziemia okupacyjnego, dla nich tu nie istniejemy jako palacy problem”.

Wraca śpiesznie do kraju. „Wiele, bardzo wiele jest jeszcze niedocięgnięć. Ale ja widzę treść — fragmenty nie rozstrzygniętych. Ufawnia się. Wojsko Polskie przyjmuje go do służby czynnej! Przez kilka miesięcy Barabasz wyprowadza swoich dalszych i bliższych z podziemia.

A pierwsze kroki na ziemi polskiej skierował na cmentarz, do nich — poległych towarzyszy. „Za coś ty się o mój bracie bił?”

Z cmentarza widać wieś. Umiarci przyjaciele, w historii może aż taka cena ofiar nie odależenie „powrotu w lud”.

Jan Aleksander Król

Zygmunt Sierp

POKÓJ WAM

Pokój wam —
gdy wyjdzie odwracać ziemię oracz
i robotnik rozwieszać wysokie dymy jak sztandar,
gdy ręce się tęczą zakotwicza
i usta zamkną słowa palące jak skandal.

Pokój wam —
gdy mgła atomu rosą osiadzie na sercach
rozproszonych wiatrami zabłąkanych żagli
i gdy oczy dojrzą wycieczkę żurawi,
których tylko traw zielen południowych nagli.

Pokój wam —
jeśli przestaną dzwonić zębami słupnicy
wpatrzeni obojętnie w chustę Weroniki,
których śpiew rozległy nutą utkwiał w szpikach
nurzając zimne echo w świec mławe płomyki.

Pokój wam —
jeśli zobaczą kłaniające się gwiazdy
w wielkich wodach wiszących na głębiach —
gdy gwiazdy się morzem — ziarno ziemią zasieje,
jeśli Chrystus miał chustę — dostrzeże gołębia.

BALLADA

Na jarmarku w osadzie
słońce depczą w kałużach,
stary Wojciech zamienia
małą krowę na dużą.

Łata rogłem wymierza,
żył sto mlecznych wymacał,
a tej dużej wymawiał,
że zmyłła rogacza.

Słowo w słowo jak ułaj,
targu dobil po zyle,
klnąc się Bogiem i diabłem
tak jarmarcznie, przymilnie.

Łasład z Wólki doradzał,
że, gdy w dworskim przypasie
wiadro mlekiem się spieni
i drzwi biedzie przytrzaśnie.

Już ją wiązał wprost okien,
łykiem wódki się krzepił,
gdy wtem dzwonek spod fary
piekło w oczy mu wlepił.

A w tych oczach ksiądz w komży
gasił ognie kropidłem,
a w te piersi pięć dzwoni
tłukąc boleść obrzydłą.

W tych oczach tak gore
niby lipiec poszyciem —
chłopska droga się krawi
piekłem, mlekiem, powiciem.

Więc też nocą przy moście
diabeł drogę okraczył —
aż go wroni krzyk zbudził,
ranny wiwał oraczy.

REKOLEKCJE „WSI”

Józef Szczygiel

Z chwilą ukazania się pierwszego nr „Wsi” cieszył się niejedyn, że nareszcie powołane ku temu czynniki pomyślały o piśmie literackim, wolnym od polityki, piśmie naprawdę chłopskim, w którym by samorodne talenty chłopskie mogły się kształcić i wypowiadać to wszystko, co chłopów raduje, smuci i boli.

Tymczasem stało się przeciwnie, powtórzyło się to co było przed wojną. Jeżeli przed wojną trudno było samoukowi chłopu, choćby krótki artykuł lub wierszyk zamieścić, to dzisiaj pod tym względem bez porównania jest gorzej, bo po wojnie tyle się tych pisarzy, a zwłaszcza poetów namnożyło, że gdyby z tego odpadła połowa, to jeszcze byłoby stanowczo za dużo. I to wszystko „poeci ludowi”, opiewający wieś i dolę ludu, o której nie mają żadnego pojęcia.

Nie myślcie sobie panowie, ażeby lud wiejski, który wydał ze siebie takich Jantków z Bugaja, Kurasiów, Maćków Czuiów, Byczków, Kapuścińskich, Raków, Szarków, Bojków, Witosów i tyłu innych, pozwolił sobie narzucić tandetę niby poezji ludowej, wzorowanej na poezji jakichś tam zboczeńców, wzorujących się na poetach francuskich, czy też należących do innej narodowości. Jeżeli sobie na to pozwoli miasto i jego mieszkańcy, pozwoli inteligencja, że jakaś historyczka dama wypisuje najpotworniejsze głupstwa, a miasto to znosi jako dopust boży, co gorsza jeszcze się tym zachwyca — to wieś, obdarzona tym przysłowiowym „chłopskim zdrowym rozumem” na to u siebie nie pozwoli i zakłada przeciwko temu stanowczy protest.

Piszący, chociaż jest prostym chłopem i nie może się należeć do polskiego językiem, to jednak nie jest mu obcy język niemiecki, francuski i angielski, może się nim posłużyć w piśmie i słowie, bo większą część życia spędził zagranicą niż we własnej ojczyźnie, a teraz w podeszłym wieku stoi nad grobem, zna więc obce narody, zwyczaje i obyczaje, bo go to wszystko interesowało i ze wszystkiego pragnął wyciągnąć naukę. Toteż choćby nie ze względu na moją naukę, bo tej nie posiadam, lecz względem na mój wiek i doświadczenia życiowe, powinien mi wyjednać pewien posuch i rzeczową ocenę mojego krótkiego artykułu.

Nie jestem człowiekiem złośliwym i nie myślę nikomu dokuczyć, przeciwnie jestem wdzięczny tym, którzy chcą iść z ludem i pracować dla ludu. Ale ta praca dla ludu jest przez wielu mylnie pojęta. Chcesz li dla chłopca pracować, to trzeba koniecznie poznać jego życie, poznać jego dolę i niedolę, jego wykształcenie, wymogi, poglądy, wady i ułomność i wiele innych rzeczy i dopiero zabrać się do pracy — w przeciwnym razie nic z tego.

Gdy się weźmie pierwszy lepszy nr „Wsi” do ręki i zacznie się czytać, to się zaraz czytający przekonuje, że piszący, to ludzie uczeni, którzy ukończyli uniwersytety, ale ludzie przeważnie bez talentu, a jako tacy nie mają przystępu do miejskich pism literackich, tylko na chłopskich pismach żerują i przedstawiają tę biedną wieś nie we właściwym świetle, co jest dla ludu wiejskiego niemałą krzywdą.

Być może, iż moje oskarżenie będzie dla wielu pisarzy gorzką pigułką i trudną do strawienia — ale co robić? Piszę po chłopku, piszę jak jak myślę i czuję.

A tymczasem na wsi wzmaga się ruch oświatowy. Nie tylko młodzi, ale i starsi ludzie garną się do oświaty. Wielu z poetów i prawdziwych pisarzy ludowych przeniosło się do wieczności, a młodzi na ich miejsce nie następują. Na wsi organizują się chóry włościańskie i teatry ludowe, różne Koła Młodzieży, lecz praca w tych organizacjach zwykle szwanuje dla braku stosownej literatury teatralnej. Tymczasem rozpisuje się konkursy, zamieszcza się sążniste artykuły krytyczne — a tu jak nic nie było, tak nic nie ma — i zdaje się że nic nie będzie.

Ale za to wydaje się zbiórki „poezji ludowej” widocznie po to, ażeby nam biednym chłopom psuć żołądki i targać nasze nerwy. Na to są pieniądze, ale na rzeczy pożyteczne, które by uprzyjemniły chłopu życie i podniosły kulturę wsi, na to pieniędzy brakuje.

Tak dalej być nie może. Jeżeli nie zboczymy na właściwą drogę, to się nie możemy spodziewać poprawy. „Ile elementarza, tyle odczynu”, powiedział pewien mądry człowiek. To też jest obowiązkiem każdego dobrego Polaka starać się o szerzenie oświaty i kultury, a szczególnie pomiędzy ludem wiejskim, kierować jego umysł ku wyżynom prawdziwego piękna i sztuki, a „oświata ludu dokaże ci”.
Rudnik.

Michał Malinowski

Czytam i prenumeruję „Wieś” prawie od początku jej istnienia. Dużo jest w niej pożytecznych artykułów, a także wyjątków z utworów literackich pisarzy ludowych. Jest to pismo na wysokim poziomie i widocznie przeznaczone dla wyższej sfery pochodzącej ze wsi lub dla ludzi interesujących się kulturą ludową. Ja uważam, że byłoby pożyteczniej wydawać „Wieś” dla wsi i treść artykułów w gazecie przystosować do potrzeb wsi. Chłop interesuje się nie tylko tym, co go otacza, często myślał wybiega dalej w świat. Ale nie ma komu jemu pomóc. Nie ma odpowiedniej gazety i książki. A ci, co piszą, często zapominają, skąd pochodzą i dla kogo piszą.

Dużo czytam i stwierdziłem, że niektóre artykuły pisane przez ludzi bardzo uczonych są przystępnie napisane i zachęcają do przeczytania ich nie raz. I każdym razem znajdziesz w nich coś nowego. Ale niestety takie artykuły są we „Wsi” bardzo rzadko. Jest natomiast dużo balastu, który należałoby wyrzucić z tak poważnego pisma. W pierwszym rzędzie artykuły pisane gwara. Poco się ośmieszają. Jest jeden język literacki. Często w sąsiednich wsiach ludzie odmownie rozmawiają i jedni drugich krytykują. Tym bardziej w gazetach nie trzeba góral czytać po mazursku, a mazur jakąś inną gwara.

Druga rzecz jest poezja, niby nowoczesna, w której nie ma nic dobrego (może dlatego, że ja jej nie lubię). Natomiast ciekawe są dykusje, życiorysy i wspomnienia wojenne. Pożądane byłoby urywki powieściowe, coś w rodzaju „Drabina bez szczebla”. Więcej życia i humoru. Zainteresuje to nawet tych ludzi, którzy mają mało styczności ze słowem drukowanym. Przecież chodzi, żeby „Wieś” była czytana, a nie służyła do obwijania i palenia tytoniu. Zniżyć trochę poziom, tak jak było przy powstaniu „Wsi”. — a redaktor nie na tym nie traci, a pismo zyska więcej prenumeratorów, zwolenników i wypowiedzi czytelników ze wsi. Trzeba przysłuchiwać się głosom z dołu, chociażby one były mylne, w niektórych rzeczach. Pismo literackie powinno iść równocześnie z rozwojem wsi, a nie nad nią. Ma przyczynić się do podniesienia oświaty ogólnej i kultury na wsi.

Wydawanie drugiego pisma literackiego dla „maluczkich” na wsi jest celowe. Należy „Wieś” rozszerzyć i ogłosić ankietę, w której by czytelnicy ze wsi wypowiedzieli się, jakiego chcą pisma literackiego i co ich najbardziej interesuje.

A pisarze i działacze ludowi powinni do życzeń tych dostożować się. Przez nawiązanie łączności ze wsią autorzy będą mieli łatwiejsze zadanie do redagowania „Wsi”, a czytelnicy otrzymają gazetę, jakiej wieś dawno oczekuje.

Folwark Wielki

Stanisław Pałeczny

Czytelnictwo na wsi to tak ważna rzecz, że ośmielam się twierdzić, iż dla jej utrzymania i podniesienia warto i powinno się trochę poświęcić, choćby kosztem swych górniczych wzniołości na Parnas. Można tu też za stosować, jak to pisze w dyskusji p. L. Trzaskowski — pewien pomost między poezją klasyczną a awangardową, by przygotować lud wiejski do stopniowego przyjęcia tej ostatniej. Nagły bowiem przeskok z jednej poezji w drugą wpływa ujemnie w ocenie czytelnika wiejskiego na tę drugą, pomimo jej niezaprzeczonej czasem wartości i dlatego jest o miłania i nieraz lekceważona przez czytelnika wsi.

Lecz p. Kirlo-Nowaczyk zapewnia, że „Wieś” jest tylko przeznaczona dla inteligencji wiejskiej. Przyznam się, że o tym nie wiedziałem i jeżeli jest tak, to sprawa niezrozumiałstwa i dyskusja na ten temat nie powinna mieć we „Wsi” miejsca. Jest to jasne i wszystko byłoby w porządku, i ja swoje zarzuty wlinem wycofać. Pozostaje tylko to, jak kto sobie wyobraża inteligencję wiejską, gdyż to też jest problem wymagający szerszego omówienia i dyskusji tymbardziej, że nie wszyscy, a szczególnie my chłopcy, z tym pojęciem inteligencji wiejskiej się godzą, ponieważ inteligencja wiejska, to jest chłopka u chłopów w ogóle nie istnieje, są tylko światli, własnym trudem zdobywający wiedzę chłopcy, którzy swym życiem i pracą nie wyróżniają się wiele od innych swych sąsiadów. Ja sam pomimo, że stoję na wyższym poziomie umysłowym od innych braci chłopów (nie pisze tego dla chwalebny), nigdy nie ruciłem sobie prawa do miłania inteligenta, gdyż nie jest to właściwa nazwa dla chłopca i na wsi często ośmieszana i pogardzana, gdyż do tego czasu ci, co się nią reklamowali, to ludzie, co przeważnie tylko szkodę wsi przyniosli. W pojęciu wsi inteligencja to ci, co z miasta przyszli do niej, a więc nauczycielstwo, jakiś urzędnik, kupiec, czasem emeryt lub zmianterowany osobnik, szukający niewiadomo czego na wsi. Tak pojęta inteligencja pisma „Wieś” prawie, że nie czyta, bo wieś dla niej przeważnie jest obca. Wychodząc z tego założenia, nie mojego, lecz chłopskiego, uważam, że „Wieś” jest pismem dla wsi i chłopów, którzy chcą pojąć nową formę pisania, lecz zbyt radykalne posunięcia w tym kierunku utrudniają mu to, a trzeba wiedzieć, że człowiek wsi nie ma zbyt wiele czasu na rozważania literackie, on chce gotową strawą nakarmić łaknącego ducha.

Nie godzę się też z poglądem p. Kirlo-Nowaczyka, gdy chce mnie zapewnić, że co dziś jest niezrozumiałe dla ojca, jutro będzie dla syna czy wnuka rzeczą powszednią, bo takie zapatrywanie na tę sprawę nie wytrzymuje krytyki. Tu chodzi o to, by pisać dla tych, co dziś czytają, a nie dla tych, co przyjdą za pół wieku, albowiem w tym wypadku będzie to samo, co dziś się dzieje i sprawa niezrozumiałstwa nigdy by się nie skończyła. Nie zawsze jest dobrze biegać samemu naprzód, lepiej i pożyteczniej iść razem z gromadą, bo w niej jest podpora, siła i bodziec do doświadczenia w wymarzony szczyt zadolenia ze spełnionego dobrowolnie nałożonego na siebie obowiązku.

Również p. Czula pisze: „Poco i komu są potrzebne owe lamańce w naszej literaturze, skoro przecież w prostych, szczyrych i literacko ujętych słowach da się tak ładnie, co się chce, wyrazić? „Każdy rozumie, że postępek to nie równanie w dół” (słowa p. Kirlo-Nowaczyka). — ależ my chcemy, by ten dół podnieść w górę i szukamy do tego odpowiedniej drogi, która by jak najlepiej i pewnie to zadane spełniła i to było głównym założeniem mej notatki, zamieszczonej w 2 nr „Wsi”. Nikt, a tymbardziej ja, nie zaprzecza istotnej wartości awangardyzmu w naszej literaturze, a który może znaleźć szerokie ujęcie w wydawnictwach książkowych, chodzi tylko o to, by ten, który przeznacza się do pism ludowych, był bardziej realny, przystępniejszy, by mógł służyć szerokiemu ogółowi naszej ludności.

Starajmy się wszyscy, jak kto może i potrafi pomóc naszemu stanowi, by w oświacie, od której tak długo był odsunięty, mógł czernąć w pełni swoje życie, nowe siły, w oparciu o które mógłby stanąć na należnym poziomie tak kulturalnym, jak i gospodarczym. Siła narodu leży dziś w chłopkim stanie, w jego masie, więc jeżeli masa będzie pełnowartościowa, tym silniejsza będzie nasza Ojczyzna!

Kopaszycze, Wrocławskie

Maciej Czula

W życiu trafiają się różne, nieraz cudaczne gusta czytelników i wtedy następuje między nimi spór, jak ich gazeta ma się prezentować, co drukować, jakie tendencje w nich wieszcząć, żeby byli w całości zadowoleni.

Jeden z czytelników lubi artykuły poważne, drugi chce czytać artykuły napisane zwięźle, popularnie, z dodatkiem anegdot, wiadomości ze świata. Inny lubi gazety o pewnych zabarwieniach i tendencjach ideologicznych czy partyjnych, a inny jeszcze lubi pisma redagowane „na wesoło” z mnóstwem humoresek, opowiadań, z odcinkiem wieści, z dodatkami frazsek, żartów, zagadki do rozwiązania i t. d. A niektórzy lubi wprost przeciwnie. Wyrzuciłby ten bagaż do wszystkich diabłów, a zatopiłby się najchętniej w metafizycznych, religijnych czy socjologicznych zagadnieniach.

I jak tym wszystkim czytelnikom o tak różnych, a niekiedy wprost biegunowo przeciwnych upodobaniach i nawykach dogodzić? Co ma w takim razie Redakcja czynić, ażeby był „wilk syty i owca cała”?

Zdawałoby się, że „Wieś” jako pismo literacko-społeczne mające już utrwalone pozycje w społeczeństwie i wytknięty kierunek ideologiczny, nie powinna tym wszystkim sporom podlegać, bo i tak nie wiele mogłaby w niej zmienić.

A jednak stary pisarz ludowy J. Kapuściński zabrał w tej sprawie głos w nr 6 „Wsi” kreśląc w artykule pt. „Dla dobra pisma i wsi” cały szereg charakterystycznych uwag, na które mu odpowiedziało w tym samym numerze w artykule pt. „Kmiotek — wieś” czupurnie i na ogół trafnie Kamińska. O coż tu chodzi?

Kapuściński (i nie tylko Kapuściński) wspomina z rozrzewnieniem te czasy, kiedy to pisma ludowe wychodziły w formie szkolnego zeszytu, a przepiękne były powiastkami, anegdotami i obrazkami, które czytając można się było zabawić, ale nie wiele z nich nauczyć. Przystosowane one były do stanu umysłowego i pojęć ówczesnych, wyzwalających się dopiero z pięć analfabetyzmu chłopów i były im one nieraz elementarzem. Z nich czerpali pierwszą wiedzę, później więcej i mniejsi działacze chłopscy, jak Bojko, Witos, zapewne Nocznicki, Stolarski i wielu innych postoi, a nawet ministrów. Pomożemy im były takie wydawnictwa książkowe, rozszerzane szeroko wśród ludu, których autorami byli w Małopolsce Seweryn Udziała, Juliusz Storka, a w Królestwie Promyk i Brzeziński i wielu innych. Jeszcze do II-giej wojny światowej wychodziły pisma tego typu jak np. w Krakowie „Rola”, ale sądzę, że podobne pisma byłyby już dzisiaj anachronizmem.

Bowiem w czasach tak obfitych w zdarzenia i wypadki dziejowe, w których trzeba wszystko odbudowywać, tworzyć i doganiać inne narody w postępie i cywilizacji, trzeba i chłopu inne pewniejsze drogi do rozwoju wytyczać. Musimy przyspieszać tempo i

uświadamiać lud na tak dużą skalę, jaką osiągnął chłop francuski, szwedzki czy holenderski. A tego by nie dało się zrobić, gdybyśmy dzisiaj chcieli nakarmić chłopca gazetkami, któreby go tylko bawiły lub rozmieszały, bo trzeba, ażeby w obecnych czasach gazety chłopca także kształciły i przygotowywały w całej pełni do życia twórczego, społecznego i obywatelskiego.

Możnaby się zgodzić z Kapuścińskim, co do drobiny niewygodnego formatu „Wsi”, którą trudno jest przez to oprawić (ale odpowiednią teczkę można na nie przeznaczyć), chociaż chyba nie format, ale treść stanowi o wartości pisma. I żeby gazeta była mądra, a czasem wesoła, godzę się, ale nie żeby była pusta. Takiej gazety wyrzeklibyśmy się wszyscy.

Tygodnik ten powinien mieć to, co wieś lubi czytać. Czy to jednak nie za duże wymagania od pisma? Bo czy wszyscy chłopcy lubią jedno i to samo czytać? Kamińska twierdzi, że jest przeciwnie. A mnie się zdaje, że zadaniem pisma kulturalno-oświatowego jest uczyć, prowadzić i wychowywać, ale nie kierować się takimi czy innymi grymasami czytelników. Nie robili przecież tego i pierwsi pionierzy niosący w lud oświatę i redagujący dla niego mniej lub więcej odpowiadające mu gazetki i broszurki uświadamiające.

Zdaje się jednak, że i Kamińska w swoich uwagach przesadziła. Albowiem trzeba, ażeby trochę przesadziła. Albowiem trzeba, ażeby chłopcy czytając swoje pismo, wyczuli i zrozumieli, że jest ono ich własne, swojskie, że odzwierciedla ich pragnienia, najskrytsze myśli, że nie tylko buja po obłokach, i przemawia nieznanym im dotychczas językiem, ale że wskazania jego są realne, które trzeba w czyn wprowadzić. Trzeba, żeby chłopcy widzieli, że gdzieś w Łodzi nie przemawia się do nich jakimś nazbyt uczonym, trudnym do zrozumienia mentorskim językiem, ale że pisze dla nich zrozumiale i z miłości wykształcony brat chłop, któryby chciał ich pociągnąć wzwyż i zrównać ze sobą. Ale żeby do ludu trafić trzeba się czasem i do niego zniżyć, a więc go rozweselić i zabawić. I tu warto byłoby się trochę zastanowić jaką powinna być „Wieś”, ażeby stała się popularną i poczytną, a nie zboczyła ze swojej linii wytyczonej.

Artykuł, chociażby nawet interesujący, nie powinien nigdy być dłuższy, niż na jedną stronę. A obok niego powinien znaleźć się jeszcze ładny wierszyk czy inny artykułek. Artykułów długich, chociażby nawet o treści interesującej chłopcy czytać nie lubią, a gdy jeszcze nie ma nad nim frapującego tytułu, to go w ogóle pomijają.

Bo artykuł to nie książka, w której z zainteresowaniem śledzi losy bohaterów, chociaż by i na kilkudziesięciu stronach. Artykuł ma być zwięzły, treściwy, popularnie napisany, łatwy do czytania. Nad zagadnieniem społeczno-politycznym trzeba trochę myśleć, ażeby zrozumieć jego sens, a nad tym nie zawsze lubią się zastanawiać, nie tylko chłop, ale i małomiasteczkowy inteligent. Oprócz artykułów zasadniczych — społeczno-politycznych i utworów literackich, chłopskich pisarzy powinna „Wieś” drukować od czasu do czasu artykuły z różnych dziedzin wiedzy, na przykład artykuły etnograficzne, przyrodnicze, weselne opowiadania, nowele, a nawet w specjalnych odcinkach powieść. Taka powieść ciągiem dalszym przykuwa czytelników i zmusza go albo do stałego kupowania, albo prenumerowania gazety. Zwłaszcza, gdy są w niej ilustracje.

Ostatnia stronica powinna być przeznaczona stale i wyłącznie na „Fakty i zdania” może ze zmienionym tytułem np. „Co tydzień niesię”. Powinny być tam rejestrowane krótko i przejrzysto wszelkie przejawy życia społecznego i umysłowego narodu, imprezy kulturalne itd., a dla chłopów, ponieważ nie uznają gazety bez kroniki politycznej i wiadomości ze świata, powinien być drukowany w każdym numerze krótki przegląd polityczny.

A czego nie powinno się pisać we „Wsi”? Zbyt długich recenzji z książek czy teatru, dłuższych prac wierszowanych oraz artykułów mających pozory osobistych wycieczek. Recenzje mają tylko wtedy wartość dla czytelnika, jeżeli daną sztukę i aktorów zna lub jeżeli daną książkę może kupić lub przeczytać. Inaczej uważa czytelnik wszystkie recenzje za „tureckie kazania”, z których nie się nie dowie. A dzisiaj trudno jest kupić książkę, jeżeli ona kosztuje kilkaset złotych i bywać przy dzisiejszej komunikacji w teatrze.

Długie wiersze nużą czytelników, jeżeli są tylko nastrojowe. Ale ballada, czy oda, romans wierszem zawsze znajdzie czytelników.

Takim chciałbym widzieć nasz tygodnik „Wieś”. A może kto z czytelników chciałby go widzieć innym?

Brzesko

WIEŚ CZYTA GAZETĘ CODZIENNĄ

Redakcja i Administracja
w Warszawie Al. Stalina 11

Oddział w Łodzi
ul. Traugutta 8
Tel. 277-20

DZIENNIK LUDOWY
centralny organ ruchu ludowego w Polsce wraz
z tygodniowym dodatkiem łódzkim

BANK GOSPODARSTWA SPÓŁDZIELCZEGO

CENTRALA W ŁODZI

TEL.: 197-93, 94, 95, 96

zawiadamia, że z dn. 1 marca 1947 r. wymienione niżej powiatowe placówki tego Banku zostały dodatkowo upoważnione do samodzielnego kredytowania spółdzielni wiejskich w granicach przyznanych kompetencji. Zarządzenie powyższe zostało wydane celem ułatwienia spółdzielniom wiejskim, zwłaszcza spółdzielniom Związku Samopomocy Chłopskiej — korzystania z pomocy kredytowej oraz dla zacieśnienia ich współpracy z placówkami BGS.

BIAŁOSTOCKIE: Bielsk Podlaski, Suwałki; **GDANSKIE:** Elbląg, Gdynia, Kwidzyn, Sopot, Tczew; **GÓRNY-SŁĄSK:** Bielsko, Bytom, Cieszyn, Gliwice, Kluczborek, Opole, Sosnowiec, Tarnowskie Góry, Zabrze; **KIELECKIE:** Częstochowa, Jędrzejów, Ostrowiec, Sandomierz; **KRAKOWSKIE:** Miechów, Nowy Sącz, Olkusz, Tarnów, Zakopane; **LUBELSKIE:** Biała Podlaska, Chełm Lub., Hrubieszów, Krasnostaw, Kraśnik, Puławy, Siedlce, Zamość; **ŁÓDZKIE:** Końskie, Kutno, Łowicz, Pabianice, Piotrków, Radomsko, Siemradz, Skierniewice, Tomaszów Mazow., Zgierz; **POMORSKIE:** Brodnica, Chojnice, Grudziądz, Inowrocław, Nakło, Włocławek; **POZNAŃSKIE:** Gniezno, Gorzów, Kalisz, Koło, Konin, Krotoszyn, Leszno, Ostrów, Rawicz, Wągrowiec, Zielona Góra; **RZESZOWSKIE:** Przemyśl, Jarosław; **SZCZECIŃSKIE:** Koszalin, Myślibórz, Stupsk, Szczecinek; **WARSZAWSKIE:** Ciechanów, Garwołin, Grodzisk Mazow., Mława, Płock, Pruszków, Sierpc, Węgrów; **WROCŁAWSKIE:** Dzierżoniów, Jelenia Góra, Kłodzko, Legnica, Świdnica, Wałbrzych.

Stefan Gębala

ZGRZYTY

Cudotwórcy czy biedni ludzie? Tytuł niniejszego artykułu przyszedł mi na myśl w czasie pobytu we młynie. Młyn to w okolicy ważna rzecz; zjeżdżają się tu furmanki z całej okolicy, czasem jedna, czasem dwie, innym razem znów kilkadziesiąt. Wtedy jest ciżba... Ale nie o to tu chodzi, że zarząd młyna nie potrafi jakimś tam sposobem rozłożyć nawału pracy na dłuższy czas, przez jakieś umowy z klientami, czy też w inny sposób. Ale chodzi o to, że młyn ten przede wszystkim zgrzyta. Czasem psują się elewatory, czasem walce, innym razem znów niedopisuje lokomobila, w sumie zaś połowę czasu zajmuje tzw. remont, drugą zaś tzw. ciżba. Ale jakże nie ma zgrzytać w tym skomplikowanym mechanizmie, skoro jego techniczny kierownik był zaledwie siłą pomocniczą, palącym czy czymś w tym rodzaju, tamten zaś fachowiec dawno już poszedł sobie tam, gdzie czekała go większa lokomobila, bardziej skomplikowane urządzenia i większa płaca. Zarząd spółdzielni, a szczególnie tego prezesa jest dobrej myśli. Jeszcze rok, może dwa — powiada — przyjdą już nowi maszyniści... Szkoły są pełne i najstarsze ich roczniki niedługo już z nich wyjdą.

Ta sama nadzieja żyje całe społeczeństwo, trzeba jednak sprawą tą zainteresować się u samego źródła. Przypatrzmy się siedmioklasowej szkole na dalekiej prowincji. Budynek przedstawia sporo do życzenia, zaopatrzenie w opał na zimę jest, trzy sily nauczycielskie zamiast sześciu i wypłowywały tablice w klasach szkolnych, to już trochę za mało. Przy pomocy tych wypłowywanych tablic nauczyciele mają nie tylko nauczać czytać i pisać, ale mają wypełnić cały program siedmioklasowej szkoły, a nawet mają prawo stawiać stopnie w świadectwach szkolnych, z przedmiotów takich, jak przyrodznawstwo, fizyka, chemia itd. Wobec takiego stanu rzeczy nie będzie dziwnym, jeśli się zauważy, że piętnastoletni absolwent szkoły powszechnej nie ma pojęcia o rzeczach przemocą bismacących się na wieś. — Motor, traktor, żarówka, a nawet piorunochron są mu niezrozumiałe, a takie rzeczy,

jak aparat radiowy, to dla niego dziwy niepojęte, które zresztą można kupić, jeśli się ma pieniądze.

Potrzeby szkół są olbrzymie; brak budynków, brak sil nauczycielskich i wiele jeszcze innych braków, ale pomiędzy nimi, jednym z najważniejszych jest brak prawie zupełnie pomocy naukowych. Zgrzytem jest to, że wśród licznych głosów dopominających się o klasy szkolne, o opał, lepsze usytuowanie nauczycieli, nieraz o dach nad szkołą, głosu dopominającego się pomocy naukowych dla szkół powszechnych nie słycać. A przecież to czas elektryfikacji wsi, mechanizacji gospodarstw rolnych itd.

Czy Z. S. Ch. powinien uczyć gotować? Dziwaczne to pytanie niech wytłumaczy jeden nieznanzy może szczegół. Otóż prawie każdy obszar dworski, który uległ parcelacji na skutek reformy rolnej pozostawił po sobie tzw. ośrodek, który znów zgóry jest przeznaczony na szkołę rolniczą. Zdarzają się wypadki, że zdewastowana resztówka nie daje schronienia szkole, ani pomocy naukowych, którymi dla szkoły rolniczej są m. im. stodoły, stajnie, obory, których nie ma. Nie rezygnując ze szkoły, z konieczności otwiera się szkołę gospodarstwa domowego, która także zapełniona jest do ostatniego miejsca, ale tu znów mają głos dorośli i niedorośli społecznicy. Głos, ten krytyczny, szyderczy niemal, bo jakżeż to? Bo czegoż oni tam uczą? Gotować? Nie wiedzą oni, że ta właśnie nauka wykuwa się najskuteczniejszą broń przeciw samogonowi i alkoholizmowi młodzieży. Brzmi to jak wesoła anegdota, ale pozwólmy sobie na jeden mały przykład. Jest tak: pod okopconą kapą kuchenną w obszernej izbie stoja pokaźne sagan, ku którym zwraca domowników jedynie dotkliwy głód. To nie to, że zasoby nie pozwalają na urozmaicenie tradycyjnego menu, to nie to, że czegoś tam brak. Braki większe są w rodzinie robotnika czy rzemieślnika w mieście. Tu jest jeden wielki brak umiejętności, skrywany przez gospodynie w tradycyjnym zamiłowaniu do tej sielskiej anielskiej prostoty żuru. Chodzi teraz o reakcję, z jaką ten stan rzeczy spotyka się ze strony młodzieży... Dla niej znającącej przeważnie sporo światła, sagan pod okopconą kapą swój powab utraciły. Jest jednak we wsi ktoś poczciwy, kto przy szklance samogonu zaofiaruje kawałek wędliny, czy czegoś tam, co wabi doń młodzież. To nie jest pociąg do alkoholu, wytwarza się on dopiero z czasem. To ucieczka od owego żuru, od tradycyjnych saganów i od okopconej „kapy”.

Potrząc na te szkoły, które kiedyś mają być szkołami rolniczymi, patrząc na ich uczeni, wiem, że one spowodują jedno z najbardziej rewolucyjnych przemian na wsi, dla której można już odżalować zepsucie stylu naszych wiejskich izb.

Leśne sprawy. Ta ostatnia przemiana zaczęła się już... Nie ma wsi, bez względu na to, czy zniszczona wojną, czy nie, aby w niej czegoś nie budowano. Buduje się stodoły i obory, ale przede wszystkim domy mieszkalne. Buduje się je inaczej, niż było to w zwyczaju od czasu wprowadzenia komina do kurnej chaty. Tu jednak znów coś nie w porządku; to sprawa materiału budowlanego. Las przestał być własnością właściciela, nawet bezplanowa sprzedaż prawie że skończona, a rygorystyczna ustawy ominąć się nie da. Prezes Powiatowego Z. S. Ch. próśb o sprzedaż drzewa podpisywać nie chce. Krzyczy jedynie przy każdej okazji, że dość tego klecenia chlewika na chlewiku, dość bezplanowego gromadzenia

opału na pożar, że przed budową wcześniej nastąpi typowanie gospodarstw, komasacja itd. Nie ma więc bezplanowej sprzedaży, nie ma dewastacji, nie ma podpalanych próśb o sprzedaż, a jednak buduje się w każdej wsi.

Przed gminną radą narodową, przed każdym jej zgromadzeniem staje zawsze jeden i ten sam punkt porządku dziennego: zapobiec kradzieżom leśnym... Ten i ów z radnych spuszcza głowę, znak, że coś tam winien... prośbę nadleśnictwa państwowego odrzuca się, nie tylko dlatego, że któryś z radnych winien, że rada nie rozporządza odpowiednimi środkami, ale także dlatego, że sporo się mówi więcej jeszcze niż wie, a jeszcze więcej domyśla.

Małpizjon. Potrącając o kwestię łatwych zarobków i o ich skutki, natrafiamy na całą hierarchię zbrodni i przestępstwa, które nie tylko łamią paragrafy prawa, ale stają w poprzek naszemu popularyzowaniu idei demokracji. Jeśli widzieliśmy oficera śpiącego w jednej stodole ze swymi żołnierzami, wszystko było w porządku. Tak sobie wyobraża demokrację przeciętny wiejski człowiek. Kiedy jednak widzimy żółty wózek nie tylko paskarza, kiedy patrzy się na strzelbę między kolanami na tymże wózku, w czasie ochrony zwierzyny, kiedy widzi się to samo, co widzieli się tak niedawno w pobliskim dworze, to coś nie jest w porządku. Dodajmy do tego traktowanie w niektórych urzędach, przy niektórych okienkach itd. a dowiemy się, że popularyzowanie zasad demokracji wymaga uprzedniego usunięcia wielu kłód zwalonych w poprzek. Zrobi to szioła, ale nim się to stanie, zrobić trzeba wcześniej, bo wychowuje nie tylko szkoła ale i otoczenie. Chłopski uraz psychiczny na tle szlacheckiego nie doznał satysfakcji: szlachty nie ma, ale szlachecki małpizjon, „pan z pana” istnieje, a ponadto demoralizuje i deprawuje sporą część młodzieży.

Makulatura. Wszystko to utrzymuje przy życiu od bardzo dawna wrośniętą w wieś nieufność do urzędów i w ogóle do wszystkiego co spoza wsi pochodzi. Stanowisko takie mogło być słusznym w czasach, kiedy chłop był obywatelem drugiej klasy, kiedy to wielu działaczom społecznym, wydawało się, że należy ten stan rzeczy utrzymać ze względu na klasową samoobronę chłopów. Stanowisko takie było zupełnie słusze w czasie okupacji. Dziś jednak jest ono niesłusne w założeniu i szkodliwe.

Do dziś jednak nic się nie zmieniło. Dziś wczasy poczucie „solidarności” przeszkadza tak samo, jak trzy lata temu, w pełnieniu obowiązków każdemu, kto jest do tego powołany. Przykładów jest bardzo wiele, ale niech jeden wystarczy. Oto działalność samorządu na jego najniższym szczeblu, tj. w urzędzie gminnym. Następuje wymiar i pobór podatku. Urząd zna sumę, jaką ma pobrać, zna powierzone grunty, od których pobiera tę sumę, lecz na skutek zaginięcia ksiąg gruntowych, przy indywidualnym wymiarze opręć

się musi na zeznaniach płatników, z których wynika, że wiele hektarów z obszaru gminy zapodziało się gdzieś i globalnej sumy podatku ściągnąć się nie da.

Dla odmiany spis statystyczny pogłowia zwierzęcego i drobiu. Spis powierza się sołtysom, którzy w poczuciu solidarności i w nieokreślonej bliżej obawie o świadczenia rzeczowe, zapisują dziesiątki arkuszy papieru urojonymi cyframi, sfałszowanymi na minus. Sołtys nikomu szkodzić nie chce, ani nikogo na owo nieprzewodzące narażać, więc w czasie swolch urzędowych czynności prowadzi takie np. pogwarki:

„— He kur, macie? — Zapytany o to właściciel sporego stadka kręci się i wymiga, bo wiadomo „na złe to idzie”. Solidarny urzędnik, jako, że nikomu szkodzić nie chce pomaga jak może i po niejakim czasie w zgodzie i jedności ustala się ilość. Sto pięćdziesiąt gospodarstw we wsi i sto pięćdziesiąt kur... Cenny materiał zebrany przez sołtysów spowoduje nawał pracy w urzędach gminnych, starostwa zbiorą te cenne dokumenty w archiwu, a kiedyś, gdy Urząd Statystyczny porówna ilość wyeksportowanych zagranicę jaj ze stanem pogłowia kurzego, wynikiem z tego ciekawe odkrycie. Ktoś naiwny gotów będzie sądzić, że jedna kura w Polsce znosi rocznie około tysiąca jaj, podczas gdy okazowe sztuki np. w Danii znoszą dwieście sześćdziesiąt sztuk jaj rocznie, co stanowi rekord i jest przedmiotem wystaw.

Nikt nie ma odwagi zdobyć się na nazwanie tej całej czynności spisowej gromadzeniem makulatury, nikt nie odważa się tego należyte potraktować, w dodatku nikt ze strony urzędowej nie wyraził dotychczas nieufności do sołtysów... A przecież nie o kury tu chodzi, o rzucanie piasku w tryby, o bezcelową pracę olbrzymiego aparatu administracyjnego. Pełne zaufanie, z jakim się traktuje te najniższe organa urzędowe, nie zawsze daje pożądany efekt. Przy braku szczegółowej kontroli, przy dziwnym poczuciu „solidarności”, przy niezagojonych jeszcze zadrażnieniach z czasów sanacji i okupacji, najczęściej chybiamy i wypacza najszlachećniejsze zamiary. Tak było także z reformą podatku gruntowego, która podzieliła na strefy płatnicze powiaty, a nie podzieliła obszarów gruntów gromadzkich o bardzo różnorodnej nieraz glebie i tylko dzięki niebywałej miłośności tegoż podatku nie słyszymy utyskiwań.

Dzieją się rzeczy wielkie. Staniemy wśród przemian, które planowane przez pokolenia, dziś się urzeczywistniają. Dzieją się rzeczy, które zmieniają nawet nie tylko wygląd zewnętrzny wsi, nie tylko krajobraz kraju, ale zmieniają psychikę mas ludności wiejskiej. Zmiany konkretnie rozplanowane sięgają o wiele głębiej, niż sięgnęła jedna z największych reform społecznych, którą było uwłaszczenie. Przyniosło ono pozory człowieczeństwa i jakich takich praw mieszkańcom zapadłych wsi i kurnych ich chat. Dzisiejsze reformy sięgają wszędzie i od garnków na kominie poczynając, do głębi serc i dusz.

W trudnej tej pracy trzeba usuwać zgrzyty.

Książki nadesłane do Redakcji

„Książka”:

J. B. Priestley — Trzej panowie w cywili, str. 216.

Jerzy Zagórski — Indie w środku Europy, str. 144.

Upton Sinclair — Król węgla, str. 462.

Stanisław Strzelbicki — Przywileje pracownicze kobiet, str. 48.

Książnica — Atlas:

Ewa Maleczyńska — Historia starożytna, str. 168.

Stanisław Skowron — Hormony, str. 48.

Józef Wasowicz — Stosunki językowe na Śląsku, str. 30.

Wydawnictwa inne:

A. J. Cronin — Cytadela, str. 429+1 nbl. wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa 1946.

Zofia Nałkowska — Niedobra miłość, str. 225, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, Warszawa 1946.

Helena Boguszevska — Całe życie Sabiny, str. 204, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, Warszawa 1947.

Dr Józef Putek

Mroki średniowiecza



Dr Józef Putek

W związku z zapowiedziami rychłego ukazania się trzeciego wydania „Mroków średniowiecza”, zwróciliśmy się do autora o podanie w jakich okolicznościach pisał tę książkę.

Redakcja.

— Książka narodziła się w warunkach niezwykłych — bo w więzieniu. Odbywałem wówczas karę więzienia, nałożoną wyrokiem w procesie brzeskim. Myśl do napisania tej książki nasunął mi przede wszystkim sam proces brzeski. Skazano nas za przestępstwa, których nie popełniliśmy. Wmawiano w nas wyrokami trzech instancji zbrodnie polityczne, które wymyślone zostały przez prokuratorów i sędziów gwoli pogwałcenia przeciwników politycznych sanacyjnego reżimu. Czyż proces brzeski zrodzony z nienawiści politycznej nie przypominał procesów wytaczanych z nienawiści wyznaniowej „heretykom” i „czarownikom”? Zetknięcie się w więzieniu z ludźmi rozkładanymi na łożu Madejowym sprawiedliwości i z systemem wychowywania i poprawiania tych ludzi, pobudzało i zachęcało do zbadania tego problemu w perspektywie dziejowej. A że przez spory okres mojego życia byłem dzierżycielem kawałka władzy świeckiej i prawdopodobnie nie byłem jakim — skoro spotkałem się w tym charakterze nawet z interdyktem czyli mniejszą klątwą władzy kościelnej, więc też mając w więzieniu dużo czasu do rozmyślań, zastanawiałem się nad tym tematem, a szczególnie interesowało mnie zagadnienie preponderancji politycznej i społecznej kleru w starej Polsce. Różni „antyklerykałści” w broszurkach pokazywali polskiemu chłopom i robotnikom hiszpańskiego Torquemada, czy stosi, na których w Niemczech palono czarownicę. Postanowiłem zachęcić ich do przypatrzenia się także minionej staropolskiej rzeczywistości, która miała nie jednego polskiego Torquemada i stosu z żywymi pochodniami polskich „czarownic”.

— Czyżby w więzieniu można było pisać książkę?

— Zawdzięczam tę możliwość także dość niezwykłej okoliczności. Naczelnikiem więzienia w Wadowicach był niejaki Majewski, który do służby w więziennictwie zaprawiał się w Warszawie jeszcze — za czasów cara Mikołaja II. Z tego czasu — rzecz dziwna — wyniósł on poszanowanie dla więźniów politycznych. To też w więzieniu w Wadowicach wówczas, kiedy tam siedziałem, była specjalna duża cela, w której siedzieli polscy komuniści. Tu ich na własne żądanie przesadzono z różnych więzień polskich, tu nimi opiekowała się niezmordowana s. p. Stefania Sempłowska. Mnie przydzielili osobną celę z niezłym oświetleniem, pozwolił sprowadzić książki, sprowadzić z Archiwum dokumenty. Korektę książki „Pierwsze występy polityczne włościństwa polskiego” robiłem w celi więziennej. A „Mroki średniowiecza” zabrał ode mnie z więzienia mój przyjaciel s. p. poseł Stanisław Szczepański i oddał je w ręce Emila Haeckera, redaktora „Naprzodu”. W czasie, gdy siedziałem w więzieniu, „Naprzód” drukował w odcinku „Mroki”. Pamiętam dość zabawny scenę z okazji cenzury skryptu „Mroków” dokonywanej przez wspomnianego naczelnika więzienia Majewskiego. W dziale, traktującym o inkwizycji w Polsce, podane było nazwisko Melchiora Mościckiego, jako ostatniego spośród 45 inkwizytorów urzędujących w Polsce. Skrypt zawierał wzmiankę,

że ów Mościcki królowi Zygmuntowi Augustowi wyrwał z ręki pióro, kałamarz stracił i kazał pokutować za to, że chciał podpisać zezwolenie na druk heretyckiej książki.

— Tego nie puścimy do druku — mówił Majewski.

— Przecież to fakt historyczny.

— Ale jak minister sprawiedliwości chwyci za pióro, by podpisać dekret wydający mnie ze służby, to Mościcki mu pióra nie wytrąci — odpowiedział Majewski.

Przyznałem słusność. Mościckiego poprawiliśmy na Melchiora z Moście, a historię z wytrąceniem królowi pióra zostawiliśmy do... drugiego wydania „Mroków średniowiecza”.

Z tego widać, że czasem więzienna cela równa się celi klasztornej, więzień zakonnikowi reguły św. Benedykta, a naczelnik więzienia zastąpił ze skutkiem Dr. Zabłudowskiego.

— Jakie były głosy o tej książce?

— O ile pamiętam — książka miała prasę dobrą. To też popyt na nią był duży. Nawet Redakcja „Piasta” w Krakowie pośredniczyła w rozprowadzaniu nakładu ku wielkiemu zgorzzeniu księży — redaktorów „Dzwonu Niedzielnego”, a także hrabiego Lasockiego, który miał do mnie pretenzje o krytykowanie papieża Grzegorza Wielkiego.

W tym wypadku pomylił się hr. Lasocki, gdyż pisałem o papieżu Grzegorzu Hildebrandzie, a on zidentyfikował go z Grzegorzem Wielkim. O książce tej wspominał mi też ks. biskup Rospond. Nie kwestionował prawdziwości faktów w niej przytoczonych, ganił tylko metodę pracy, polegającą na gromadzeniu samych „mrocznych” faktów. Oświadczyłem, że powinno to dać sposobność komuś do napisania w celu równowagi na temat „Biaski średniowiecza”.

— Kto książkę tę czytał?

— Praca ta — jak wspominałem — drukowana była w krakowskim „Naprzodzie”, tedy sfery robotnicze i inteligentkie ją czytały. A potem wydania książkowe rozbiłali chłopci, Koła S. L., biblioteki „Wiści”. Wiele też egzemplarzy poszło do Ameryki i Francji. Drugie wydanie ukazało się przed samym wybuchem wojny. W obozie koncentracyjnym opowiadali mi przybysze z kraju, że książka ta przemycana była do więzień, czytano ją w kolach partyzanckich. Książce tej zawdzięczam, że mogłem przetrwać prawie sześćdziesiąt lat w obozach koncentracyjnych. Przez książkę tę nazwisko moje stało się znane niejednemu, który mi pomógł do przetrwania.

KOMUNIKAT

Dnia 25. III. br. odbyło się rozstrzygnięcie Konkursu Literackiego urządzonego przez Zarząd Okręgowy Związku byłych Polskich Więźniów Politycznych w Łodzi.

Jury w osobach: Prez. Ajnenkiela, prof. Kamińskiej, prof. J. Sztudyngera, dr L. Świeżawskiej, p. Szmaglewskiej, p. Bartkowiak i prof. Saloniego zakwalifikowało do nagrody następujące prace:

I nagroda — zł. 10.000 (ufundowana przez Zarząd Miejski m. Łodzi) — za pracę p. t. „Krzywdy” — p. Kołodziejczyk Henryka z Pabianic.

II nagroda — zł. 6.000 — za pracę pt. „Wspomnienia” p. Julia Temerson z Łodzi.

III nagroda zł. 4.000 — za pracę p. t. „Zeszytów śmierci” p. Klara Nicka z Piotrkowa.

Poza tym zostały wyróżnione prace: p. Kołodziejczyk „Chleb”; Kapuściński Stanisław „Pod wiaduktem”; Suszyńskiej Marii „Halte Mund”; Filusa B. „Dzieje jednego dnia”; Aurelii Janke „Gdańska 13”; J. Korzejwo „Droga do wolności”.

Tadeusz Chróścielewski

Śmigus u Marysi

(Wyjątek z wiejskiego pamiętnika inteligenta)

Chyżyny — 25.III. 1945 r.

KOBIETY były czymś zmieszane. Poszeptywały po kątach, jak mi tu dać pościel. Soldaty spały i może „trocha pchłówek” natrzęsły. Zdmuchnięto lampę, właśnie tę, o której młody nauczyciel — klasyk Stefan Kozicki śpiewał na moich z Marysią zaręczynach:

„Sama lampa się paliła — ło, ło, ło!

Bo w niej jeszcze nafta była — ło, ło, ło!”

Wprowił tym wtedy biesiadników w nieopisane zdumienie. Mimo mroku każde z nas odwróciło się do ściany; zaczęliśmy się śpiesznie rozbiierać. Nagle podniósł się harmider, gdyż zginęły dwa wiadra i to napelnione wodą. Nie odezwałem się ani słowem, bowiem stały głęboko zasunięte u mnie pod łóżkiem. Tak się przygotowałem na jutrzejszy „lejek”. Jeszcze w Gnińsku ostrzegła mnie Marysia, gdyśmy się tu do Chyżyn na święta wybierali, że u nich.. to się drugiego dnia polewają wodą, „nazywa się to... lej”. Żeby to miało również nazwę śmigusa, tego moja Maryś nie wie. Ucieszyłem się. Zobaczą stary wiejski zwyczaj na właściwym terenie. Przy tym wszystkim jednak przypomniałem sobie jakieś przedwojenne słuchowisko o tym, jak to parobki oblewali dziewczuchy lodowatą wodą u studni. Coby to było, gdyby teraz dziewczuchom pod przewodem Marynki przyszła ochota zaciągnąć tak „prefesura” pod studnię. Stąd geneza owych dwóch wiader.

Prześcieradło przyjemnie szorstkie, a palce przed snem bawią się supkami frendzli z czarnej chusty, którą mnie dopiero okryła marysina mamusia. Maryśka śpi niespokojnie, ustami łapie powietrze. Zastanawiam się, czy kot może się zaplątać w lep zawieszony nad kominem. Coby z tego wynikało? Szurałby pewnie jak zdurniały po wszystkich kątach. Słepia naszego kota są z przodu patrząc — zielone, z boku zaś po prostu złoty, połyskujący paciur. Jakaś przerwa w nocnym polowaniu. Jest godzina pierwsza.

Nagle za oknami kroki, chrząkanie, jakby ustawianie się, delikatnie przypominają się skrzypce, wreszcie dość zgodny chóralny dyszkant:

„A czy śpicie, czy nie śpicie,

Czy nam śpiewać pozwolicie?...”

Zamieniam się w ucho: — ulubione powiedzenie mojej siostry.

„W Wielki Czwartek, Wielki Piątek,

Cierpiał Pan Jezus za nas osmętek,

Za nas to, za chrześcijany.

Pana Jezusa ukrzyżowali... Anieli się dowiedzieli,

Po tę krewkę przylecieli,

Przylecieli, pozbięrali,

Złoty mi ręczniczkami...”

Chwila przerwy. Teraz się ciągnie niewesoła opowieść, jak to „w niedzielę po obiedzie szedł Pan Jezus po kołędzie” spotkał „dziewczę ze dwóra”, co to dzieci owe potraciła, a trupki ukryła:

„Gdzie jezioro, tam ich czworo.

Gdzie ciemny las, tam pięcioro.”

Dobry Pan Jezus każe dziewczęciu pójść do spowiedzi, a gdy się dziewczyna spowiadała, na trzy piędzi ziemia drżała. Nastąpiły teraz strofy dość natarczywie żądające honorarium.

Kurzakowa jak kamień. Gałęz oczu przylepionych do szyb, by ściemnione listki brzozy.

— Mamo, mammo, ma-mo! Dyngusi przyszedł. Mania w stanie szczęścia, bo gotowi Wam co rzeknąć.

Dyngusi słysząc chochanie po izbie udeżył w ton podniosły:

„Chwała Bogu Ojcu

Siedzi kurczę w kojcu,

Jajek nam naniesie,

Gospodyni wyniesie...”

— Przepraszam Was, moje panowie, my tu śpiem i nie nie słyszem.

Krzążają się z Marysią. Od granatoburej nocy dziwnie odbijają jej białe ramiona. Podziękowania, życzenia dobrej nocy.

— I Franek Klamutów też był — mówi jakby z pewnym rozmarzeniem. W wojnę ich nie było.

Raniutko, gdy Kurzak wyszedł na podwórze i zaczął siepać rękoma, że aż w izbie było słychać, a gęsi szły gęsiego po kałuży opowiadając sobie dzieje słynnego zwycięstwa kapitolńskiego — pospacerowałem z jednym z kubiów do łózka Marysi. Nawet nie krzyknęła. Zakutała się z powrotem po uszy w pierzynę i obróciła pogardliwie do ściany.

Domyśliłem się, że uczyniłem coś niestosownego, lecz co? Włożyłem najgorsze spodnie i czekam na to „coś”, co teraz nastąpi.

— Wstań, Marycha, dyć tylko patrzeć, jak „lejki” przyjdą — Kurzakowa dmucha w torf na palenisku, aż się rozlatuje po izbie. Wszedł Kurzak, w czerwono-czarnym krawacie i siny po świeżym gołeniu. Marysia nakrywa ręcznikami stół: kielbasa z czosnkiem, przyrumienione kostki słoniny, prawdziwa wódka (wtedy jeszcze rzadkość). Nikt nie myśli o oblewaniu.

Najsamprzód przyszły jednak małe „lejki” — ośmio i pięcioletnie. Ustawili się z walecznymi minami przy studni.

— Jasię, gościę do ciebie — prześmiechują się w izbie z najmłodszego Kurzacza. Sprowokowany chłopiec stanął odważnie w drzwiach:

— Nie boje się, wis?

W tej chwili jednak je zamknął, ale strumień wody zdążył już przysnąć do izby i zlać mu koszulinę. Wyjrzelśmy przez okno.

Napastnicy ustawieni w rzędzie o kilka kroków przed domem demonstrowali swe narzędzia, długie, drewniane pompki, z których woda strzela dość daleko.

— Nie boje się, wis? — przywodził Jasię już z poza drzwi. W izbie podrostkowej Staś kłócił się z Marysią, o jakieś perfumy, uparł się koniecznie iść z nimi do Wandzi. Wyrwyjąją sobie z pasją.

Marysia spojrzała na mnie i powiedziała dość niechętnie, żebym się przebrał. Powiedziałem, że wolę tak pozostać. Wzruszyła ramionami.

Około ósmej ktoś zakrzyknął, że „lejki” idą. Zrobiłem ruch jakbym chciał uciekać do boków.

— Tadek, proszę, zostań — szepnęła bar dzo cicho, jednocześnie poczułem w palcach maleńką buteleczkę. Spojrzałem — „Soir de Paris”.

Lejków było czterech. Położyli na ławkę kapelusze. Z butonierek zwisały im pantofelki góralskie, laseczki i koniczynki. Patrzyła na Marynkę z pewnym oneśmieniem. Poważne egzamina ma w mieście. Za profesura się wybiera. Widzę, jak za ich plecami Kurzak śpiesznie zanurza w wiadrze buteleczkę po wodzie kwiatowej.

Czuje, że „to” już teraz, gdyż podchodzą do mnie, prawda, że z poczciwymi minami. — Nie powiem, żeby to było przyjemne. Każdy sączy mi delikatnie na włosy żdziebko perfum.

— „Żeby się owiesek dobrze rodził”.

Wskoczyłem już w rolę, pryskam zamaszyscie „Wieczorem Paryskim” czując błyszczącą czuprynę.

— Żeby się Wam owiesek też dobrze rodził.

I właściwie jest już po lejku. Jesteśmy weseli. Ceregielujemy się przy stole. Brzdęk... brzdęk... stukamy w kieliszki. Kurzak opowiada o Żydzie, co nie miał biletu w pociągu; potem jeszcze o czymś mówi. Młodzi są wyraźnie zażenowani. Podnosimy kieliszki. Opowiadam, że i u nas w mieście jest podobny zwyczaj, lecz my to nazywamy śmigusem i oblewamy się na całego, zwyczajną wodą, tak kubiłami, wszyscy, nawet policjant w wieżycze z zbiegu Marszałkowskiej i Aleja.

Jednocześnie przypomniałem sobie, jak właśnie w tym punkcie spotkałem latem, jeszcze za niemieckich czasów Marysię. Miała różową bluzkę, paciorki i była bardzo nieszczęśliwa. Pierwszy raz sama w Warszawie.

— U nas też tak było kiedyś... ja ci mówię to tak znalazłem, że... — odpowiada z namaszczeniem Kurzak. Policzki mu poróżwiały.

Zbieramy się wszyscy: i ja i Marysia. Idziemy w siódmkę do sąsiadów, znowu na „lejki”.

BIBLIOTEKA
ODDZIAŁU WIEJSKIEGOZWIĄZKU ZAW. LITERATÓW POLSKICH
ŁÓDŹ, A N D R Z E J A 1 2

- 1. Paweł Kubisz „PRZEDNÓWEK” poezje, drugie wydanie (92 stron druku) — cena 120 zł.
- 2. Józef Andrzej Frasiak „URODZONY W ŻDŹBLE” poezje (160 stron druku) — Cena 180 zł.
- 3. Stanisław Pięta „DOM RODZINNY” poezje wybrane (144 stron druku) — cena 230 zł.
- 4. Edward Marzec „WNUCZEK ORZE” debiut poetycki, (40 stron druku) — cena 80 zł.

W I E R S Z E Z T E R E N U

Mikołaj Sobczyński

Żarna

Zamknęli niemcy drzwi we młynie,
Nigdzie nie zmielisz ani ziarna;
Dłubałem długo dwa kamienie
I jakoś zmajstrowałem żarna.

Zrabował niemiec nasze mienie,
Głód i łapanki — ciężka próba! ...
W piwnicy huczają dwa kamienie:
Hej żarna — moja chluba!

Mieł i mieł... Mieł trzeba.
Jak mogę — czynię matce zadość.
Spiekła mamusia bochen chleba —
Hej żarna: moja radość!

Mieł i mieł... Od mozoli
Jedna i druga piecze ręka,
I tęskno mi, i serce boli —
Ach, żarna — okrutna męka!

Jadwiga Limba

Niedziela babia

Nawet w niedzielę pełno robociska —
dzieci wykąpać, oblatać, wyiskać!

Chłopu polatać trzeba chałpne portki,
(niedziela gorsza od codziennej orki!)

Gruntu odróbka — juści małorolni —
przednówek ciężki — aż serce boli!

Zawdy robota — zwykła doła babia,
swoje odrobić — u ludzi wyrabiać!

Dziewisków kupa — ostatnie w kołysce,
ciżba na łózkach i ciżba przy misce — — —

Jedno na rękach — a drugie już w drodze —
(ktoś zły urągał: za dużo tych rodzeń!!!)

Tymu trza buciat — a tymu sukienki,
(ciągiem kołyski i ciągiem trumienki — — —)

... Na mszy porannej w kościele tak pięknie,
tak krzyże bolą, kiedy człowiek klęknie!

Organy grają i pachnie kadzidło,
(czy też tam Jasiek wygnał w pole bydło?)

Mięsza modlitwy z różańcem kłopotów,
myśl jak ptak chory, próżno rwie do lotu!

I ślepa wiara wadzi się z zwątpieniem
O, Boże czemu karzesz wojną ziemię — — —?

Ksiądz na kazaniu woła „kara Boska”
— — — czy Bóg na niebie wie o ludzkich troskach —?

... że pusty sąsiedź — ostatnia krowina,
Bije się w piersi — Chryste, moja wina.

Trzeba się modlić — skamlać do uporu,
... od głodu, od wojny i moru — — — — —

W chałpie cior wielki — w chałpie pełno kisu,
a chłop urąga: leniu — nierobisuu!!!

a bydło ryczy, dzieciska despecą,
nikt nie zapalił — całkiem ciemno w piecu,

Trza trzec ziemniaki — robić placki z tarcin,
bo żyta ino na tydzień wystarczy — — —

Wieczór w maśniczce, bo to jutro jarmark,
(jutro przededniem, trzeba mleć na żarnach!)

Mleko trza scedzać, dzieciska okradać,
(Jasiek nie rośnie i Marysia blada!)

Nie liźnie człowiek ni masła ni jajka,
(za to wychody — nawet chłopska fajka)

Nie, popołudniu nie pójdzie na nieszpór,
zawdy robota od świtu do zmierzchu — — —

Świąteczne dery trza ułożyć w skrzyni,
i kwas z resztek na placek podczynić ...

Gdyby rozprościć kościska choć końdek — —
Kajta! Wieczera i bydła obrządek! ...

... Drzymiący pacierz: „Boże, jakam słaba”
i tak się kończy ta „niedziela babia”! ...

Trzebunia, 1944 r.

Edward Wrona

Z Dolnego Śląska

Sianokos

Czy czujecie?

Jak to mocno pachną siana,
Lipa w słońcu rozkochana!
Idą z kosą w pole chłopci.
Deszcz im siano w kopach kropi,
Czasem słońce dobrze parzy.
Idą w pole młodzi, starzy
Wśród kwitnących w polu maków.
Idą, idą do buraków ...
Idą, idą i dziewczęta,
I w niedzielę i we święta
Do kościoła w Ludwikowie —
Każdy przyzna, każdy powie —
Słychać dzwony, serca bicie:
Wkoło widać polskie życie.
Idziesz w pole, czy na drogę,
Wszędzie słyszysz polską mowę.
A dziewczęta niby wiśnie —
Uśmiechnie się i uściśnie.
Uśmiechnie się i zaśpiewa —
Więcej, więcej takich trzeba.
Wśród dni jasnych, czasem szarych
Stoi kościół wśród lip starych.
Prawie wszystko w ławkach siedzi.
Ksiądz zaś czyta zapowiedzie.
Tam, gdzie wieżę smukłą widać,
Toż Świdnicy dzwony słychać.
Tam ksiądz prałat kaznodzieja
Ludzkie dusze tu wybiela
Krzepkim głosem co niedziela:
W górę serca, w górę czoła!
Rośnie Polska, rośnie nowa,
Praca jego wdzięczna, wielka —
Niech nam żyje ksiądz Marchewka!
Fabryk coraz więcej dymi,
Ziemia cała w zbóż zieleni:
Rośnie żyto i pszenica,
Każde oko się zachwyca.
Czerwieni się sad różami,
Gną się drzewa z owocami.
Wiño rośnie popod ściany,
Słowik śpiewa w nim schowany.
A tam w oknie za firanką
Coś szeptają Jasiek z Janką.
Pachną róże, pachną kwiaty,
Gdzieś w sąsiedztwie dudnią basy.
O, tam wioska ukochana ...
Pachną lipy, pachną siana ...

Wojciech Biernat

Młocki

Kuba z Maćkiem pracowici
wzięli cepy, poszli młócić.
Najęli się u plebana,
biją w snopy już od rana.
Choć im ręce ustawają,
wciąż cepami wykręcają.
Po południu koło trzeciej
wprost do młocków pleban leci:
„Szczęść wam Boże, dobrzy ludzie,
i jak wam tu praca idzie?
Już widać słabo bijecie —
za co zapłatę bierzecie?”
Lecz niedługo gderał przy nich,
bo go woła gospodyni.
A zaprasza też i młocków,
by poszli do podwieczorku.
A jegomość w onej chwili
do parobka się skarżyli:
„Najmy słabo wymłacają,
ledwie cepy wykręcają”.
„To niech się ksiądz w słomie skryją,
a poznają czy źle biją”.
I nakrył go słomą grubo,
a już młóca Maciek z Kubą.
A spod słomy słychać: dość, dość,
bo tu jest jego... jego... mość...”
Jegomość się przekonał,
Ze chłop cepem dobrze wali.

Stanisław Paleczny

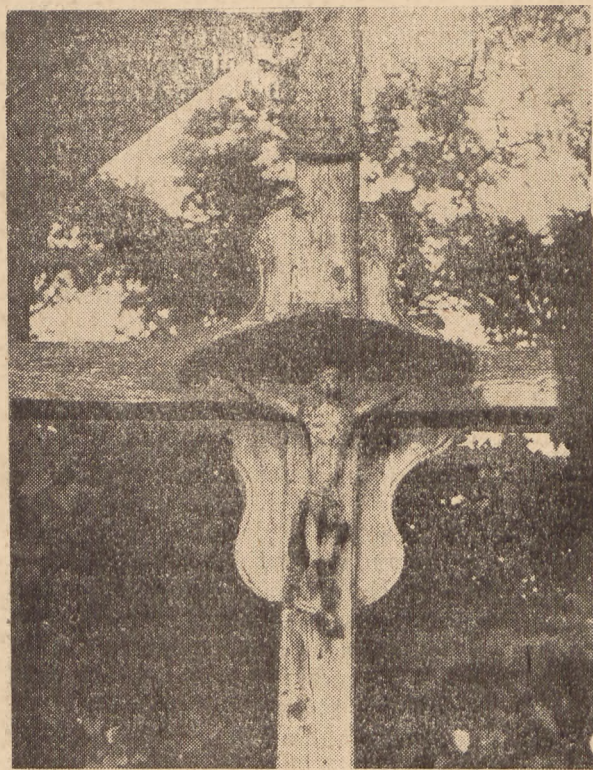
Pasteczek

Rada by ja rada jeszcze se pospała,
a tu matuś krowkę popaść mi kazala.
Zimna rosa szczypie bose moje nogi,
nie wzięłam trzewiczków, mój Ty Boże drogi.

Czarna moja krowka gwiazdkę ma na czole,
spokojna, nie biega przez szerokie pole.
Oj, ty krowko moja, co mi mleko dajesz,
ja cię tam zawiodę, gdzie się dobrze najesz,

potem cię napoję w tej krynicznej wodzie,
zawiodę do domu, uwiążę w zagrodzie,
bo znowu do szkoły biegnąc muszę lotem,
Oj, Boże, co ja to mam w życiu roboty!

DO „NOTATEK Z OPOCZYŃSKIEGO” (str. 3)



14. Krzyż przydrożny (Radzice Małe)

15. Kapliczka św. Jana Nepomucena — rzeźba w drzewie wykonana przez miejscowego artystę (Idzikowice)



Czesława Dałkówna

Pomiędzy rodziną

Opisać swoje życie nie jest tak łatwo, jakby się zdawało z początku. Raz mi się widzi, że to co przeżyłam, jest ważne. Innym znowu razem, że nie ma żadnego znaczenia. Ale postanowiłam być szczerą i zanotować, co uważam za warte powiedzenia, a już, jeżeli kto to będzie czytał, to musi sam ocenić, czy to ma jakie znaczenie.

Nieraz ludzie się chwala, nieraz ludzie się znowu pomniejszają — jak kto: jeden mówi, że na pieniądzach śpi, a grosz przy nim nie śmierdzi. Inny znowu opowiada, że nie ma co w garnek włożyć, a stale tylko po szynkach i knajpach wysiaduje. Ja o sobie będę tak mówiła, jak jest. Najwyżej czegoś nie dodam, ale nie nie ujmę.

WIEŚ I DOM.

Urodziłam się w pewnej wiosce w powiecie łęczyckim dnia 17 maja 1925 roku. Rodzice mieli tylko cztery morgi ziemi, a nas było w domu sześcioro. Ja byłam najstarsza — reszta dzieci był to sam drobniak. W naszej wiosce ziemia była licha, jak na złość, bo już inne dalsze miały glebę dobrą i tam ludzie prowadzili gospodarstwo ogrodowe, zbywając produkty w Łodzi, a nawet zawożąc na Śląsk. Szczególnie dobrze się ludziom zrobiło, jak rząd polski pobudował przez Łęczycę kolej od Kutna aż do Łodzi. Wtedy kupcy warzywni przyjeżdżali na miejsce i zakupywali, co tylko było można od samej wiosny, jak się tylko szczypiorki zaczęły, aż do jesieni, kiedy się kopało buraki. Zawsze byli kupcy i zawsze było co sprzedać.

Wioska moja nie jest duża: stanowi ją tylko kilka chałup rozrzuconych po parceli. Zaraz po wojnie bolszewickiej dziedzie pobliskiego dworu odsprzedał część swojej ziemi tym, kto miał pieniądze. Sprzedał więc tylko najgorszą, o słabej, piaszczytej glebie. Resztę zostawił samemu sobie i gospodarzył w dalszym ciągu.

Rodzice nas utrzymywali trochę z plodów tego kawałka ziemi, jaką mieli na własność, trochę zaś z robót zarobkowych, które wykonywali a to we dworze, a to po gospodarstwach chłopskich tych chłopów, którzy mieli więcej ziemi i nie mogli jej sami obrócić, tym bardziej, że każdy z nich mając dość duże dochody, najczęściej posyłał dzieci do szkół: do gimnazjów, na uniwersytet, a w domu nie miał kto robić, tylko musieli najmować.

OJCOWIE I DZIECI.

Rodzice się męczyli bardzo: szczególnie matka, która miała tyle dzieci, dom, trochę gospodarstwa i jeszcze musiała chodzić na zarobek. Więc w domu zostawialiśmy sami mały i jedni drugich bawiliśmy. Spiewaliśmy sobie, paśli gęsi, bawiliśmy się w wesela, w pogrzeby, opowiadali o zbójach, opowiadaliśmy sobie zagadki. Jeszcze dziś pamiętam je wszystkie, bo prawie co dzień opowiadaliśmy je sobie od początku, jak nowe i nigdy nam się nie znudziło, choć rezultat z góry już odgadywaliśmy, jak tylko jedno zaczęło je mówić.

Na przykład:

Fitu-fitu, fitu-fitu —

Pełna skrzynia aksamitu: co to jest?

Albo — Przywieźli ją Miemie

w czerwonej sukience,

jak ją rozebrali,

to nad nią plakali: co to jest?

Albo jeszcze inaczej:

Stoi panna w oknie,

warkoczek jej moknie: co to jest?

Dzieci u nas się rodzily — „co rok to prorok”, to chociaż ja dopiero miałam siedem lat już wszystkie były te, co i dzisiaj są, a ja musiałam być dla nich gospodynią. Moi najmłodszy braciśkowie jesienią to ogromnie się smarkali, a ja zawsze nie pamiętałam ucierać im tych nosków. Więc jak raz mama przysłała do domu na południe i oni mieli takie brudne nosy, to mnie zbiła — dość nawet mocno.

Pamiętam, byłam wtedy długo na mamę zła, bo mnie nie biła tak bardzo często, ale dopiero później — później mama się przede mną wygadała, że mnie nie zbiła za te noski, tylko jak kopali we dworze na akord kartofle i dawali zamiast pieniędzy za każdy wykopany metr kartkę, to mama trzy kartki zgubiła, ojciec ją też może uderzył, a skończyło się wszystko na moim siedzeniu i skórze.

SŁUŻBA U LUDZI.

Kiedy skończyłam siedem lat, rodzice czekający na moje jakieś takie lata zgodzili mnie do pasenia bydła u gospodarza w trzeciej wsi. Od piętnastego maja do Wszystkich Świętych miałam dostać dwa metry żyta i chustkę na głowę. Mój gospodarz był chłop bogaty: miał czterdzieści morgów pola, cztery konie, dwanaście krów, owce i sporo świń. Dzieci tylko troje, z tych dwoje było w szkole. Córka była w gimnazjum, a syn uczył się na doktora w Warszawie. Drugi był w domu, skończył szkołę rolniczą i miał dziedziczyć po ojcu całą gospodarstwo. Mieli sporo maszyn do obróbki roli: siewnik, skibowiec*, żniwiarkę, jakieś walce podobne do misek, hakowate i inne.

Pastwisko było niedaleko domu i dróżka do niego ogrodzona była drutem kolczastym, żeby ochronić pola przed krowami, bo szkodowały; to nie było trudne pasenie krów. Najgorsze było wstawanie rano i chodzenie po rosie, kiedy skóra od wilgoci popekała i rany szczypały nie do wytrzymania. Jedzenia miałam dosyć, spałam w komorze od podwórza: budziła mnie zawsze dziewczyna, bo i taką mieli do roboty. I był jeszcze parobek do koni, orki, wywózki gnoju i trudniejszych robót w domu i na roli. On spał w stajni razem z końmi, gdzie miał ustawione swoje wyko. Ławiej mu było dopilnować koni w nocy i nad ranem, jednocześnie stróżował tym sposobem nad inwentarzem w oborze.

SZKOŁA I SŁUŻBA.

We wrześniu tego samego roku zapisałam mnie do szkoły — widocznie w gminie już, bo przecież rodzice wcale do szkoły nie chodzili. Przyszła kartka, że bym się stawiła do szkoły, a ja przecież byłam na służbie. Więc zamiast mnie poszła mama i chciała tłumaczyć nauczycielowi, że do szkoły iść nie mogę, bo jestem na służbie. Ale to nic nie pomogło. Nauczyciel zapowiedział, że za każdy dzień, który nie będę w szkole, rodzice muszą zapłacić karę.

*) Tak nazywają w okolicach Łęczycy plug konny dwuskiłbowy.

Potem poszedł ojciec — powtórzyło się to samo. Oni tłumaczyli się służbą, że ja muszę już na rodzinę zarabiać, że jest nas dużo — nauczyciel swoje: że jestem obowiązana iść do szkoły i rodzice będą ukarani, jeśli to się nie stanie. Więc nie wiedzieli, co zrobić. Żal im było mnie odbierać ze służby i brać ich strach o karę, żeby nie zapłacili więcej niż wynosi zarobek.

Tu, gdzie mieszkaliśmy, była jedna szkoła, a tu, gdzie służyłam — druga. Więc na dobitkę tego wszystkiego jeszcze i z tej szkoły przyszło wezwanie do moich gospodarzy, że muszę iść na naukę. Nie pomogło tłumaczenie się moich pracodawców, że mnie zgodzili bez szkoły. Ja musiałam iść i kwita. Więc oni powiedzieli, że nie po to godzili pasterkę, żeby samym krowy pasę i mnie zwolnili. A jak się z rodzicami godzili za ten czas, to też wynikły jakieś kwasy i tak poszło, że rodzice pogniwiali się na szkołę, na gospodarzy, na mnie nawet i byli źli jak oset. Na tym wszystkim najlepiej ja wyszłam, bo poszłam do szkoły, a choć się najpierw bałam, bo nie wiedziałam, jak tam jest, ale potem się cieszyłam, bo było mi lepiej niż krowy pasę i doszłam do wniosku, że ten przymus to był dobrą rzeczą. Inaczej bym do szkoły nie poszła. I nie nie umiała. Potem dało się pogodzić służbę z nauką. Rano szłam do szkoły, a krowy stały na zielonce, albo wypędziła gospodyni, a po południu po szkole ja je wyganiałam i pasłam do wieczora.

DLA DOMU I RODZINY.

Kiedy trochę podrosłam i byłam już silniejsza, zaczęłam chodzić z rodzicami po zarobkach, a na służbę do krów poszła druga siostra. Chodziliśmy do tych gospodarzy, którzy prowadzili gospodarstwo ogrodowe. Robili w ten sposób, że całe pole uprawiali specjalnie, siali dużo nawozów sztucznych, brzemieniem dawali żyto lub pszenicę, a w środku całe łany ogórków i między nimi cebule. Tak tam było prawie w każdym gospodarstwie, w każdej wsi na około mnie.

Taka jednak gospodarka wymagała dużo ludzkiej pracy, więc zajęcie było dla nas zawsze: sianie, pielenie, przerywanie, rozsadzanie, wysadzanie i sprzedaż. Teraz chodziło już nas z domu troje — rodzice i ja i zarabialiśmy niezłe, starczyło jakoś dla nas na jedzenie, jakieś takie ubranie i dla ojca na papierosy.

W tym czasie przydarzyło się ojcu nieszczęście. Maszynowali w jednym miejscu kieratem żyto, ojciec podawał snopki w bęben młockarki i niechcący zęby bębna chwyciły go za palec. Pocharatało mu całą dłoń, leżał w szpitalu, a kiedy wyszedł, nie miał u lewej ręki trzech palców: wskazującego, wielkiego i serdecznego. Został mu się tylko gruby i mały palec, ale mu to nie przeszkadzało w pracy. Tak się wprawił, że wykonywał każdą pracę — umiał nawet szyć.

W ten sposób, rok za rokiem jedno po drugim nadrastaliśmy i przybywało rąk do pracy, zarobku i wyreki dla rodziców. Umieliśmy pogodzić pracę dla rodziny ze szkołą, bo jak ze mną było trudno i rodzice niedoceniali szkoły dla mnie, tak o te drugie dzieci dbali więcej i już nie sprzeczekali się z nauczycielami o każdy dzień.

WOJNA I MOJA RODZINA.

Kiedy wybuchła wojna z Niemcami, ja miałam czternaście lat i byłam świeżo po szkole. Z gminy wkrótce przyszło polecenie, ażeby każdy mężczyzna zdolny do noszenia broni jechał na wschód w kierunku Warszawy. Ojciec jednak nigdzie nie pojechał. — Ja się stąd nigdzie nie ruszam. Tu jest moje i ja tu zostaję. I nie pojechał. Z początku latały nad nami samoloty, gdzieś niedaleko zabily człowieka albo krowę, jeżeli się pasła w polu. Spalił się jeden dom od bomby. Można jednak było wytrzymać. Bardzo z początku ucierpiała Łęczycza:

zbombardowano dworzec, spalono jedną dzielnicę, zginęło kilkanaście ludzi.

Najgorzej jednak zrobiło się wtedy, kiedy nasze wojska wycofujące się z Poznańskiego doszły do Łęczycy i tu zaczęły się walki.

Bliskość frontu i działań wojennych zmusiła nas do opuszczenia domu i udania się na tułaczkę do sąsiedniego powiatu łowickiego. Ale ojciec z nami nie poszedł — został w domu. Po powrocie zastaliśmy wszystko splądrowane: wszystko nam pokradziono i ojciec nie żył. Zginął od kuli.

OJCZYM W DOMU.

Matka miała trzydzieści lat zaledwie, jeszcze jaką taką urodę, a nade wszystkim owe cztery morgi pola. To chyba zdecydowało, że po roku zjawił się zalotnik i matka tłumacząc nam, że musimy mieć ojca, wyszła powtórnie za mąż za pewnego wdowca bezdzietnego, zupełnie wyrobniaka, który wszedł w nasz dom.

Odtąd zaczęły się kwasy. Nie wiem, czy dlatego, że myśmy go nie darzyły sympatią, czy też to był zły człowiek, dość, że pomiędzy nami zapanowała bardzo ciężka atmosfera. Fukał na nas, krzyczał o byle co, nieraz uderzył, a wia domo, że z obcej ręki bardziej boli, jak z ręki własnych rodziców.

Nie pozwolił nam długo popasać w domu. Zostało się tylko jedno dziecko, najmłodszy braciśzek. Reszta musiała iść do obcych ludzi na służbę. Pracę łatwo było znaleźć, bo ludzi było jeszcze mniej niż przed wojną. Więc wszyscy prawie poszliśmy na obcy chleb.

NA WYGNANIU.

Wiosną roku 1941 zaczęły chodzić słuchy o wysiedleniu u nas. Gdzie indziej to już się działo, ale myśmy sądzili, że nasza wioska biedna nie będzie podlegała takim zarządzeniom. Ale było inaczej. Więc tak jakos przy końcu kwietnia zabrałyśmy, co mogliśmy: krowę, trochę szmat i drobiazgów tyle, co tylko można było unieść i uciekliśmy wszyscy za granicę do powiatu łowickiego w noc.

Tu nas ludzie przyjęli nie bardzo chętnie. Nazywali nas dziadkami i nie można było znaleźć mieszkania. Dopiero przez wojska w gminie wyznaczono nam pokoiki, ale w tym pokoiku nie było ani kuchni, ani nie. Matka uprosiła trochę ciepłej po ludzku, znalazła jakiś kawałek rury i ojczym sklecił coś w rodzaju kominka.

Ale to się nie na wiele zdało, bo już po trzech tygodniach musieliśmy się przenieść gdzie indziej, do drugiego mieszkania, bo pierwszy dłużej nie chciał nas trzymać. Jak to, ja sam będę cierpiał tych dziadków na karku, a inni to nie? — mówił do sąsiadów i musieliśmy się zabierać, bo nic innego nie mieliśmy do roboty.

My wszyscy rozeszliśmy się po służbach za robotą, ojczym bowiem nie znoślił nas koło siebie. Widzieliśmy, że matka cierpi, patrząc na naszą poniewierkę, więc bez sprzeciwu poszliśmy do ludzi. Rodzice jednak w dalszym ciągu wędrowali od domu do domu, bo każdy chciał się jak najprędzej pozbyć takich gości z musu i nie mieć ciężaru obcych ludzi w domu.

Choć z drugiej strony nie byliśmy takim znów wielkim ciężarem dla nich, bo to byli ludzie bogaci, kupowali kanapy, szafy lustra, bieliznę, ubrania, gdyż wojna otworzyła przed nimi wielkie zyski, a bliska granica duży handel: cukrem, mąką, świniami, bydłem.

Kiedy się mamusi urodziło dziecko — synek nowy — ojczym prawie nas nie cierpiał. Stąd dom obcy zrobił się nam domem naszym, a dom matki naszej — domem obcym. Nie chodziliśmy prawie w odwiedziny do rodziców. Zawsze chętniej odwiedzała nas matka, jeżeli się mogła wyrwać z domu, ale jak kto chce

Od Administracji

Administracja tyg. „Wieś” przypomina wszystkim Prenumeratom o konieczności odnowienia prenumeraty na rok 1947. Prenumeratę należy wpłacać przekazem pocztowym na konto

P.K.O. - ŁÓDZ VII - 1080

Blankiety należy wypełniać czytelnie — z podaniem miejscowości i poczty.

Mieczysław Grad

Postęp w sztuce postępowym - społecznym

Pytanie sformułowane w ankiecie przeprowadzonej ostatnio przez Redakcję „Wsi” brzmiało: **jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?** Należałoby rozumieć (zauważył to trafnie w swej wypowiedzi ob. Marian Cieślak z Poznania) jakiej powieści wieś chce subiektywnie, a nie jakiej potrzebuje obiektywnie.

Bo gdyby organizatorom ankiety chodziło o obiektywne potrzeby literackie wsi, mogliby je z gruba ustalić i bez ankiety. Można było bowiem wyciągnąć wnioski z analizy społeczno-gospodarczych, politycznych, kulturalnych i innych przemian zachodzących współcześnie na wsi, można było sięgnąć do danych statystycznych w dziedzinie oświaty szkolnej i pozaszkolnej, bibliotek itp. instytucji. Tymczasem w ankiecie chodziło, zdaje się o to, by czytelnicy więcej mieli możliwość ujawnić swoje literackie życzenia.

Ale jeżeli tak, to sposób przeprowadzenia ankiety nasuwać by powinien poważne wątpliwości. Prosta rzecz — chodzi o reprezentatywność uczestników ankiety.

Jak wiadomo, na wsi żyją rozmaici ludzie, różne są ich życzenia i gusta. Ba, gdyby tylko różne. W tym sensie, że sprzeczne. Bo na pojęcie wsi w sensie socjologicznym składają się różnorodne treści. Łątwo przytoczyć z miejsca różnice cywilizacyjne, wieku, świadomości i cały legion innych.

Czyżby więc głos byłby tu najbardziej miarodajny? Oczywiście ani tych, którzy schodzą do grobu, ani tych, których pochłania całkowicie konserwatywne przetwarzanie przeszłości

Miarodajny byłby chyba głos tej grupy, która w społecznym życiu wsi stanowi element świadomy, dynamiczny, twórczy i młody. A więc młodzieży zorganizowanej w „Wiciach”.

Gdybyśmy więc uzyskali masowe wypowiedzi młodzieży wiciowej, co jest całkowicie realne i wykonalne w oparciu o aparat organizacyjny ZMW RP „Wici”, gdyby jeszcze każda z indywidualnych wypowiedzi zaopatrzona była w krótką informację autobiograficzną, to po odpowiedniej klasyfikacji i analizie moglibyśmy do plero orzec, że wieś chce powieści takiej to a takiej. Obawiam się, że w epoce atomowej, otwierającej perspektywy podróży międzyplanetarnych — chałupnicze metody takich poważnych ankiet nie bardzo są „adekwatne”.

Inna rzecz, że nawet wypowiedzi uzyskane w sposób bardziej nowoczesny — nie mogłyby być jeszcze miarodajne wprost. Gdy np. okazało się, że wieś w przygniatącej swej większości chce czegoś w rodzaju „Trędowatej”, to z tego wcale by nie wynikało, że dla zrealizowania owego „zamówienia społecznego” pisarze winni tworzyć na obraz i podobieństwo Mniszkówny. Z tego by dopiero wynikało, że subiektywne zapotrzebowanie literackie wsi jest takiego, a nie innego gatunku. A okoliczność, że do czytelników wiejskich dotarła akurat Mniszkówna nie świadczy jeszcze o właściwości zaspokojenia przez nią określonych potrzeb. Mniszkówna (i nie tylko ona) winna być traktowana jako „papiererek lakmusowy”. Subiektywne potrzeby literackie wsi, zaspokajane dotąd w części przez nią, mogą być na przyszłość zaspokajane, właśnie w tej „trędowatej” dziedzinie, lepiej przez kogo innego. Lepiej rozumie się, w sensie artystycznym i społecznym.

To, że dotychczas w rękach czytelnika wiejskiego są książki takie, a nie inne, i że niektóre z nich zdołały ować nadnąć umysłami, nie świadczy absolutnie, że właśnie dla czytelnika wiejskiego „są pisane”.

Chyba nie przypadkowo pomysł urządzenia ankiety przyszedł do „głowy” Redakcji „Wsi”. Tak samo chyba nie przypadkowo w krajowych i zagranicznych czasopiśmie społeczno-literackich toczy się namiętna dyskusja o tzw. realizmie. A sprawy te wzajemnie się zająbiają. Powiem więcej — pierwsza jest fragmentem drugiej.

Nie ma bowiem zagadnień literatury chłopskiej, które by nie były zagadnieniami literatury. Literatura jest jedna i nie dzieli się na jakieś takie sektory czy klasy, w których miałyby obowiązywać różne miary i wymogi. Istnieje natomiast sprawa właściwego rzutowania stanowisk ogólnoliterackich na różne sytuacje tematyczne czy środowiskowe. Sprawa stosowania ogólnoliterackich stanowisk w dziedzinach dotąd egzotycznych lub słabo uczęszczanych. Ale trzeba sobie zdawać sprawę z tego, co się chce rzutować i stosować. To też sądzę, że jakiegokolwiek porządkowanie myśli w ramach ankiety „jakiej powieści chce dzisiejsza wieś” musi się odbywać w ramach szerszych: „jakiej chcemy dzisiaj powieści”.

Skąd się biorą owe pretensje i żądania pod adresem literatury? Skąd wołania o jakiś nowy, współczesny „realizm”? Wynikają one z odczuwania dysproporcji pomiędzy literaturą i życiem społecznym. No bo jakżeż! — Była wielka wojna, jest wielka przebudowa, na widowień wkraczają nowe, uciemnione dotąd warstwy społeczne. Wypadałoby, ażeby i w literaturze zaznaczyło się to w jakiś godny sposób, skoro rozwija się ona w określonym środowisku społeczno-historycznym i nie jest zamknięta w wieży z kości słoniowej. Ażeby i literatura nadążała jakoś za gigantycznością epoki. Lecz literatura, jak twierdzą społecznicy, nie bardzo jest zdolna wchłonąć w siebie potęgę tłoczonych się

Anna Kamińska

Rozdroże krytyki poezji ludowej

W grudniowym numerze miesięcznika „Wieś i Państwo” Józef Spytkowski w artykule pt. „Rozdroże stylu ludowego” czyni zarzut poetom ludowym z tego, że nie są ludowi. Omawiając jednak ostatnie wydawnictwa poetyckie Kubisza, Frasiaka i Ożoga recenzent nie decyduje się na żądanie z określenia pisarstwa ludowego, jakie padały bądź to w rozprawach Konińskiego i Pigonia, bądź w dyskusji prowadzonej w naszym piśmie w związku z powstaniem Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Pol.

„Według ogólnej opinii poeci: Kubisz, Frasiak i Ożóg przynależą do grupy pisarzy ludowych” — oto zdanie słuszne, bo rzeczywistość nawet bez względu na ogólną opinię wyrażoną przez nich, należy do grupy pisarzy chłopskich zorganizowanej w Oddziale Wiejskim Związku Literatów. Dalej: „wobec tego ich twórczość winna być reprezentowana współczesną literaturą chłopską. Niestety, kto się bliżej zajął z ich twórczością, łatwo zauważył w niej brak zasadniczej cechy: chłopskiego stylu widzenia rzeczy”!

Tu okazuje się, jak wiele nieporozumień wynika z braku jasnego metodologicznego założenia w stosunku do przedmiotu.

„Pisarze ludowi to tacy, którzy pochodzą z ludu”. W tym znaczeniu omawiani pisarze

zdarzeń. No i trudna jest sprawa najważniejsza: na czym polegać ma to „jakoś”.

Cisną się wątpliwości, czy dotychczasowe środki i kategorie za pomocą których dokonywał się literacki uchwyt rzeczywistości — są wystarczające, stosowne, adekwatne w stosunku do epoki. Nasuwają się myśli, że przebudowa rzeczywistości społecznej żąda przebudowy kategorii literackich. Tylko nie wiadomo, jakiej przebudowy.

Spółcześni a zwłaszcza politycy i moralisci mają skłonności wysuwać pod adresem literatury żądania wygórowane. Chcieliby widzieć w niej tylko narzędzie przebudowy społeczno-moralnej. Narzędzie, oczywiście w ich ręku.

Tymczasem literatura, jeśli odrabia swoje „służebności”, czyni to nie wprost. Literatura, oczywiście, przebudowuje, ale w pewien specyficzny, jej właściwy sposób.

Dlatego polityk i moralista, jeśli chcą zabierać głos w sprawach literackich, winni przekroczyć ów próg, który oddziela literaturę od reszty rzeczywistości. I swoje postulaty winni formułować w języku obowiązującym na obszarach sztuki.

Każda dziedzina życia podlega prawom rozwoju. W każdej chcemy być postępowi. Jeżeli więc ktoś uważa, że postęp w jednej dziedzinie uwarunkowany jest zahamowaniem postępu w innej — myli się na pewno.

sa pisarzami ludowymi, ale sa też przecież pisarze chłopskiego pochodzenia, którzy nie pragną się nazywać ludowymi. Nie dlatego, aby się wstydzili swego pochodzenia i byli zdradcami sprawy, ale po prostu ich sprawy sa inne. Przybóś nie jest poeta ludowym.

„Pisarze ludowi” to twórcy obdarzeni „chłopskim stylem widzenia rzeczy”. Ale oczywiście „nałot programów nowoczesnych szkół literackich” odbiera poetom chłopskim ów dar chłopskości. Nie usiłują go zatrzymać, bo nawet jeśli jest on czymś realnym w granicach obecnej kultury wsi, traci wszelką przydatność poza nim.

„Pisarz ludowy to literat piszący dla ludu”. A jednak poetów tych cechuje nowoczesna komplikacja środków poetyckich, ich utwory nie są dostępne nieprzygotowanemu czytelnikowi poezji.

„Pisarz ludowy to ideolog wiejski piszący o ważnych i aktualnych sprawach wsi i chłopów”. A tu znowu często subtelny kryzm, sentyment wysublimowany w dekoracji pejzażu wiejskiego.

„Pisarz ludowy to członek grupy literackiej połączonej idea nową kulturą ludową”. Może to dzięki temu określeniu utarła się ta „ogólna opinia”, że Kubisz, Frasiak i Ożóg sa poetami ludowymi.

Jeżeli więc ze stanowiska społeczno-politycznego wysuwamy żądania pod adresem literatury, obowiązuje nas zasada: nie wolno w imię postępu politycznego żądać ureakcyjnienia literatury. Ureakcyjnienia, to znaczy: uwstecznienia w dziedzinie artystycznej. Bo postęp i reakcja w sztuce mierzą się w kategoriach sztuki.

Możliwości rozwojowe literatury są różnorodne, wszechstronne i wielopłaszczyznowe. Wielopłaszczyznowe są możliwości literackiego postępu. To też społecznicy, jeśli mają coś do powiedzenia pod adresem literatury, nie mogą ograniczać się do prostego zgłaszania „zapotrzebowania”, dezawuuując wszystko to, co w ich bieżącej działalności nie jest bezpośrednio przydatne. Uzurpując sobie prawa, winni się poczuwać także do obowiązków.

Jednym z głównych obowiązków społecznika jest ukazywać te możliwości literackiego postępu, które w sposób dla niego (społecznika) widoczny leżą na linii postępu społecznego. Podkreślam — „w sposób dla niego widoczny”, bo chyba wszelki postęp w dziedzinie sztuki, niezależnie od tego, czy jest dla społecznika — laika w sprawach sztuki — widoczny, jest dźwiękiem, współczynnikami i objawem postępu społecznego. Wyrazem postępu społecznego jest zarówno twórczość Władysława Broniewskiego, jak Juliana Przybosa, zarówno Józefa Ozgi - Michalskiego, jak Jana Bolesława Ożoga.

Myślę, że sprawa niektórych możliwości postępu literatury wiąże się z ankietą „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś” i wymaga gruntownego przedyskutowania.

Niezdeterminowane stanowisko Spytkowskiego wobec wiecia nowoczesnego pisarstwa ludowego ułatwia dyskusję z jego wypowiedzią, ponieważ wprowadza w nią wyraźne pomieszczenie pojęć. Nie jest jednak sprawa tak lekka, aby dała się obronić, czy choćby sionmułować w notatce. Pisarze ludowi powinni się rzeczywiście zmobilizować w obronie swego stanowiska, w obronie swej ideologii kultury, która z różnych stron starają się podważyć właśnie ludomani argumentem rzekomej ludowości.

Niemniej zarzut nieczytelności stawiany wielu poetom chłopskim jest zarzutem poważnym. Jest to zagadnienie aktualne w najszerzym wymiarze społecznym.

A jednak okazuje się, że Józef Spytkowski nie wyraża stanowiska „Wsi i Państwa” skoro w następnym zeszycie znajdujemy zupełnie odmienny pogląd na sprawę. Wprawdzie Kazimierz Kamiński pisze tam tylko o „wsi jako odbiorcy literatury”, ale uważa twórczość wiejską literacką za jedną z form percepcji literatury ogólnej, panującej. „Chłopski styl widzenia rzeczy” zastępuje więc proces wyboru, czy też docierania pewnych treści i wątków z kultury ogólnej. O tym wyborze i przyjmowaniu obiegowych niejako motywów literackich decyduje obok sfery praktycznych zainteresowań chłopów-rolników ich sytuacja umysłowa, ponieważ wieś odrzuca to wszystko, czego nie rozumie. Kamiński odmawia ludowi inicjatywę i pomysłowość twórczej, widząc w obrzędach świątecznych — strzępy staropolskiego teatru religijnego, w pieśniach — reminiscencje i przeróbki utworów literackich, w twórczości mówionej, baletnej — zmieszane i poplatane watki literackie szlacheckie, kościelne i szkolne. Wieś jako odbiorca literatury w żadnym z etapów historycznego rozwoju omawianego przez autora nie staje się także twórcą literatury. O zapełnienie tej luki muszą się pisarze ludowi upomnieć.

Referat Kamińskiego poucza, że ściśle filologiczne podejście do twórczości literackiej ludowej nie określiłoby jej wcale. Samo wykazanie wpływów, jakim podlegali Rak, Kuras i inni byłoby łatwe. Ale oni stali się poetami nie dzięki tym wpływom, ale pomimo nich.

Szkoda, że współpracownicy „Wsi i Państwa” nie czytują „Wsi”. Ankieta „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś” drukowana ostatnio doprowadza do innych wniosków co do literackich upodobań chłopów niż te, jakie wysnuwa Kamiński z własnego doświadczenia. W wypowiedziach chłopów znajduje wyraz na przekór Kamińskiemu właśnie dążenie do idealizacji życia, ale w granicach formach rzeczywistości, od której, jak twierdzi Kamiński, chłop w księżce szuka ucieczki. W rezultacie chłop tego zostaje zawieszony między niebem i ziemią. Poszukiwać realizmu zgodnego z „chłopskim zdrowym rozsądkiem” jednocześnie wyrwa się z szczytu rzeczywistości i pragnie jej zapomnienia.

Czy chłop ma wreszcie ów „zdrowy chłopski rozsadek”, czy też jest to tylko łaskawy dar tych, którzy odsadzają chłopca od udziału w pełnym, nieklasowym rozumie?

Jan Bolesław Ożóg

WIOSNA LEŚNA

Toczy się lasem księża bryczka.

W lesie u dróżki krzak kaliny,
śnieżyście tli wisłenna wiecha
jak odchylona w śnie spódniczka.

I z ziemi w gwiazdę wbiły nóż.
Jak lekko wiśnie i maliny
do ust się chylą pełną czarką.

Chwyta się za pierś zbladły klecha,
kobyły ircą białoleśnię.

W zefirze od bałtyckich mórz
śpi z dzbankiem jagodziarka,
Całuje sobie zbója we śnie.

To tylko wiosna, wiosna, las,
czeremchy, kalina — dziwożona.

Wóz tnie korzenie, dzwonią dzwona.

*

Wszystka wiosna szumi na dębie,
pozłociście lamią się wiatry
z nieobciętej z cyny osiki,
niosą z boru panny na dzbankach
niebo z lazurowych paszków,
lecą, lecą na skos gołębie,
a wywilgi dmuchają w flety:
Hulaj księdzu, czarna muzyko!..

Piotr Wyrobek

Ilustr. A. Strumiłło

„Judasza” na Podhalu

Pogańscy nasi przodkowie nazywali siły przyrody, które darzyły dobrodziejstwami i polepszały ich byt, Bogiem Białym tj. dobrym, natomiast te, które przynosiły nieszczęścia i klęski, Bogiem Czarnym czyli złym nazywano. Od pierwszego pochodziło wszystko dobre, gdy przeciwnie drugi był przyczyną zła. Dlatego też różnymi ofiarami starano się złagodzić gniew złych bóstw. Obok tych dwóch wierzono jeszcze w inne pomniejszych bogi, szkodę i klęski ludziom przynoszące — a do takich należała Marzanna, bogini śmierci, uosobiona w postaci zimy. Żywa natomiast była boginią życia.

Na cześć tych bogów odprawiano uroczyste igrzyska i palono ogień na górach i wzgórzach — w czasie zmiany pór roku. — Gdy np. w marcu budziła się natura pod wpływem ożywczych promieni słonecznych, wtedy kończyło się dokuczliwe panowanie Marzanny tj. zimy — więc z radością witano rozpoczynające się panowanie bogini Żywy, uosobionej w kwiecistej i słonecznej wiosnie, oraz wyobrażającej bożyszcze urodzajności. Jej pamięć żyje dotąd w nazwie podkarpaccyjskiego miasta Żywca, w okolicy którego miał się znajdować na górze posąg tej bogini. Z nastaniem wiosny wynoszono bawiana zrobionego ze słomy, co miało wyobrażać Marzannę i topiono w wodzie rzeki przyspiewując mu:

„Śmierć płynie po wodzie —
nowe lato ku nam idzie” —

Jeszcze przed 60 laty — pamiętam to, jak w miejscu mego urodzenia w zagrodzie Pieskowej w Osielcu — było zwyczajem, że we Wielki Czwartek robiono ze słomy chłopca i po przetrzepaniu go kijami wśród okrzy-

owego garnka, a żeby nie wypadł lub nie uciekł, obwiązywali szmatą i smolną dratwą szewską — po czym potrząsali garnkiem, żeby kota trochę przypiekło i rozdrażniło i oczy mu zasypało. Następnie rzucali garnek z kotem z wieży kościelnej na ziemię. Garnek upadając rozbił się, zaś kot przestraszony pędził naokoło kościoła miaucząc, a chłopcy z kijami i kamieniami za nim. Gdy

ze smolą, czyli tzw. „maźnicę” — i te rzucali do ognia celem wywołania żywszego płomienia. Także znosili beczki z nafty, z teru, z octu, z wina lub ze śledzi, skradzione kupcom, i we Wielki Czwartek o zmroku, pod komendą jednego przewodnika, wynosili na tzw. „Górki” pod kościołem, gdzie zapalili wielkie ognisko, beczki napełnione smolą i polewane smolą i naftą, zapalali na



go dopadli i na śmierć zatkli, mówili, że się „sprawili z Judaszem”.

A znowu we wsi Wróblówka, koło Czarnego Dunajca, we Wielką Srodę robili Judasza ze słomy. Osmarowywali go smolą i wynosili wieczorem za domy, na bory, tj. na torfowiska. Tam go dobrze kijami przetrzepali a następnie podpalali.

Z tak licznych dawniej obrzędów zwyczajowych na Podkarpaciu zostało już niewiele, albowiem zarzucono je i zaniechano z biegiem lat i wieków, a zarzucono dlatego, że albo traciły pierwiastkiem pogańskim, albo też były one przyczyną zdziczenia obyczajów, rozpusty, lub zgorzenia. Utrzymał się jedynie w okolicach Makowa pod Babią Górą i w Makowie samym mający tło religijne obchód „palenia Judasza”, który corocznie odbywa się we Wielki Czwartek o zmroku. Na wszystkich wzgórzach palą się ognie, a przy nich działy hałasuje i śpiewa, a właściwie w niebogłosy drze się:

„Judasie — nie doj się!”
— „Weź kija — obron się!”
— „Jakże się — obron się!”
— „Kiej mi się — kij łomie!”

Po czym następuje:

„Na niego — na niego
— hurra chłopcy wraz!”
— „Na niego — na niego hurra chłopcy wraz!” — i znowu od początku to samo:
— „Judasie — nie doj się!” — powtarzając tak długo, dopóki materiału paliwa starczy. A materiał palny gromadzą małe chłopaki i wyrostki już od tygodnia, a więc gromadzą: stare miotły, snopy słomy i chrust — na upatrzone wzgórze. Bywało i tak, że podczas jarmarków makowskich, kradli chłopcom, którzy przyjeżdżali na targi, naczynia

wzgórze i płonące na dół staczali — a po tym znowu wynosili na kijach do góry, by je znowu na dół spuścić. Zaś „maźnicę” ze smolą natkniętą na drażki od mioteł, trzymali zapalone niby pochodnie, którymi wywijali ponad głowami — krzycząc w chór donośnym głosem:

„Judasie — nie doj się!”
— „Weź kija — obron się!” — itd.

Owo palenie ognia po górach i wzgórzach przypomina sobótki, gdzie w innych okolicach kraju, a w szczególności na równinach, palą na Zielone Świątki, lub na św. Jana. W okolicy Babiej Góry takich sobótek obchodzić nie ma zwyczajem.

*

Warto jednak wspomnieć zwyczaj, praktykowany w kościołach w Makowie i w Osielcu, lecz już od 70 lat zaniechany. Było to tak, że w Wielki Piątek po „Ciemnej Jutrznii”, która miała miejsce pomiędzy godz. 3-cią a 4-tą popołudniu, gdy ksiądz dał znak kościelnemu, by zgasił ostatnią tj. trzynastą świecę na tzw. „trianglu”, wtedy to kościelny, wzięwszy tę trzynastą świecę z owego „trianglu”, szedł z nią za wielki ołtarz, gdzie byli przyszykowani chłopcy z przygotowanymi już klekawkami (kłapacami), grzechotkami i trzaskawkami, obracanymi na korbach. Jeden z chłopców przebrany był za Judasza w czerwonej sukni, z zieloną przepaską. Gdy ksiądz po odprawieniu liturgicznego obrzędu („treny Jeremiasza”) uderzył brewiarzem o ławkę, wów czas chłopcy ukryci za wielkim ołtarzem, na ten znak księdza zaczęli kłapać na kłapacach i grzechotkach, a przebrany za Judasza chłopiec biegł na środek kościoła między ludźmi z takim rozpędem, że przewracał

kłęczących, zwłaszcza kobiety, zaś reszta chłopców z kłapacami i grzechotkami biegnąc za Judaszem, przewracała również niektórych z ludzi, co wywoływało śmiech i zamieszanie w kościele. Aż wreszcie Judasz wybiegł z kościoła i chłopcy w pościgu za nim.

Gdy już kościół dookoła oblecieli, Judasz znowu wpadł do kościoła, przewracając po drodze tego, o którego zawadził w biegu, aż wreszcie wylatywał i ukrywał się w ambonie i tam się rozbiierał, tj. składał ów judaszowski płaszcz i zieloną przepaskę. Na tym kończyła się dawniej w kościele makowskim tzw. „Ciemna Jutrznia”, a lud zaczynał wtedy śpiewać „Gorzkie Żale”. Ale za czasów rządów w parafii św. Ks. proboszcza Heera ten obrzęd ludowy z Judaszem w kościele makowskim zarzucono, a także zaniechano później nieco i w kościele w Osielcu, albowiem obrzędy te, aczkolwiek związane z liturgią, wywoływały w kościele śmiechy i zakłócenie powagi nabożeństw a nawet dawały publiczne zgorzenie. Nazywało się to „szukaniem i gonieniem (ściganie) Judasza”.

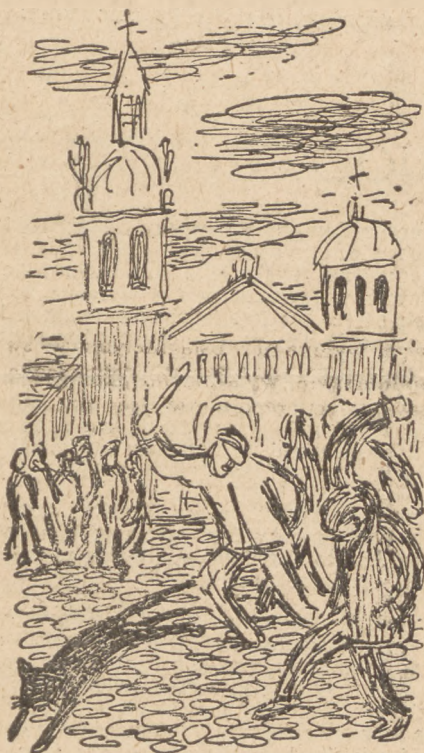
*

Istniał też w Makowie dość oryginalny sposób pełnienia straży przy tzw. grobie Chrystusa w kościele makowskim, niewiadomo przez kogo i kiedy wprowadzony. Lecz zwyczaj ten również przed około 90 laty został zaniechany. Straż tę przy grobie Chrystusa od Wielkiego Czwartku aż do rezurekcji wykonywali mężczyźni, przebrani za Żydów, w liczbie 30, w sposób następujący: Gdy liturgiczna msza św. się skończyła i wedle zasad liturgicznych miano Pana Jezusa przenieść do tzw. piwnicy w kaplicy kościelnej, wtedy wchodził do kościoła owi przebrani za Żydów mężczyźni, Ubrania ich były sporządzone wedle starego typu; bluzy od spodu były zębiaste, a na głowach peruki z pejsami. Ubrojeni byli w krzywe szable przy boku, nado w piki, i pełnili asystę przy procesji do kaplicy i pod ich jakoby eskortą odbywało się przeniesienie Pana Jezusa do tzw. piwnicy, a następnie od tej chwili pełnili straż honorową tamże po dwóch, luzując się co godzina na przemian. A w Wielki Piątek po ceremonii liturgicznej również pod taką samą eskortą zanoszono Chrystusa do grobu. A gdy go już do grobu złożono, owi żydkowie — jak ich nazywano — pełnili znowu straż po dwóch, luzując się co godzina z „wachcymry” na plebanii. Tak było aż do rezurekcji, która przed tym odbywała się w kościele makowskim w niedzielę wielkanocną o świcie. W niedzielę wielkanocną o godzinie 4-jej zrana zwoływano ludność na rezurekcję wystrzałami z moździerzy. I pobożni garnęli się tłumnie z rozległej wówczas parafii makowskiej do kościoła. Około 5-jej godziny zrana rozpoczynała się rezurekcja. Gdy po odśpiewaniu liturgicznych modłów i psalmów, celebrujący ksiądz zaintonował na znak Zmartwychwstania z Monstrancją w ręku hymn: „Cum Rex gloriae”, wtedy owi żydkowie pełniący służbę przy grobie Chrystusa w liczbie trzech, gdyż na tę ostatnią noc straż o jednego była wzmocniona, tak naumyślnie, a niby to ze strachu, że Chrystus z grobu zmartwychwstanie, poprzewracali się na ziemię w różne pozycje: jeden wznak, drugi w tył, a trzeci w bok. Reszta zaś straży stała w dwurzędach przed drzwiami kościelnymi i na komendę dowódcy: „Kik-pik!” — „piki naprzód!” — również udawali przestraszonych, co wywoływało ogólną wesołość a nawet głośny śmiech. Po czym wszyscy uciekali, biegnąc w przeciwnym kierunku, jak szła procesja. — Gdy czoło procesji napotkali, wtedy na znak komendanta podskoczyli wszyscy naraz, ochlapując (gdy było mokro) ludzi błotem i wywołując oburzenie u kobiet, idących w procesji dwoma rzędami ze światłem różańcowym, które, przyoblokły na tę uroczystość najpiękniejsze stroje, jakie miały, u innych ludzi wzbudzało to śmiech i zamieszanie.

Dla uniknięcia publicznego zgorzenia i pogwałcenia nabożeństwa, zarzucono również w parafii makowskiej zwyczaj tego rodzaju straży i asysty przy grobie Chrystusa przed 90 lat. Jednakże tradycja o tym droga opowiadań ludzi starych się utrzymała — tak, że ja mogłem zanotować. Od około 55 lat straż honorową przy grobie Chrystusa i asystę w czasie procesji sprawuje makowska straż ogniowa ochotnicza.

*

Święte dla dawnych mieszkańców okolicy Babiej Góry musiały być niektóre osady, jak np. Sucha, gdzie czczono w pogańskich czasach światło i palono ogniska po wzgórzach tak, jak w innych okolicach palono „sobótki” na cześć Światowida, to podanie ludowe mówi, że na Babiej Górze niewiasty paliły ogień, tańcowały, śpiewały i „Czarnobogu” cześć i modły czyniły. Obrzędy te przeżyły tysiąc lat — z tą tylko odmianą, że pod wpływem religii chrześcijańskiej i wpływem księży przybrały one podkład religijny. I obecnie, rokrocznie obchodzi je ludność w okolicy Babiej Góry we Wielki Czwartek o zmroku pod nazwą „palenia Judasza”. — W niektórych wsiach górskich uczestniczyli dawniej przy obchodzie „palenia Judasza” wójci miejscowi i starszyzna wsiowa. Trafiało się, gdy uczestnicy obchodu mieli wódkę, to przypijali do wójta mówiąc: „Zdrowie krzesny ojcie!” — a on pijąc do nich — odpowiadał na to: „Zdrowie Judosie!”



ków i przekleństw zatapiało go w rzece Skawie, co nazywano „topieniem Judasza”. Nie ulega tedy wątpliwości, że zwyczaj ten był pozostałością z tych zamierzonych czasów, kiedy to po ustąpieniu zimy dokuczliwej żegnano Marzannę złorzeczeniami i nagrawaniami się z niej, a witano rozpoczynające się panowanie bogini wiosny. W nazwie ostatniego, dokuczliwego miesiąca zimy „Marzec”, pozostała pamięć o bogini „Marzannie”, bo po tym miesiącu nastąpił miesiąc wiosenny, który nazywali starzy górale „budzikwiat”. Długo zatem utrzymywały się dawne zwyczaje i obrzędy, zanim ciemnota pogańska ustąpiła miejsca kulturze chrześcijańskiej. A gdy to się stało i nie można było w inny sposób wypłenić starych i silnie zakorzenionych zwyczajów i obrzędów pogańskich, przyobleczone je tedy i dostrójono w szatę nowych chrześcijańskich pojęć — podstawiono więc imiona i uroczystości dostosowane do wielkotygodniowych obchodów w związku z męką i śmiercią Chrystusa. Obecnie wielkotygodniowe zwyczaje ludowe pod Babią Górą nie są już pod wpływem pogańskich bogów — zmieniły się więc tylko role, a ów nieszczęsny Judasz Iskariota, jeden z 12 apostołów, zhańbiony zdradą swego mistrza Chrystusa przez wydanie go starszyźnie żydowskiej za 30 srebrników, stał się wedle pojęć ludowych tą symboliczną postacią gorszego od samego szatana wroga Chrystusowego, uosobieniem fałszu, chciwości, zdrady i wszelakiego zła i zbrodni.

W miasteczku Bobowa przed 50 laty uprawiano następujący, trochę barbarzyński kult Judasza we Wielką Srodę: Zbierała się banda chłopaków i wyrostków, przeważnie terminatorów rękodzielniczych. Garnek gliniany, duży, napełniali półgorącym popiołem, tak, że na wierzchu była warstwa zimnego popiołu a na spodzie gorący jeszcze popiół z iskrami. Schwytanego dużego, starego kota — żydowskiego chowu — wynosili na szczyt wieży kościelnej i tam wsadzali go do



T. Kulisiewicz: „MACIERZYŃSTWO”. Z cyklu „Wieś w Górcach” 1936 (drzeworyt)

REDAKCJA TYGODNIKA SPOŁECZNO - LITERACKIEGO „W I E Ś”

O G Ł A S Z A **KONKURS** NA ANKIETĘ:

„MOJA DROGA DO SZKOŁY ROLNICZEJ i ZE SZKOŁY ROLNICZEJ DO WSI”

NAGRODY: I-15.000 zł, dwie II po 10.000 zł, III-5.000 zł
oraz nagrody książkowe dla 50 autorów wyróżnionych odpowiedzi

Kto uczestniczy w konkursie?

Grupa pierwsza:

I. Udział w niej biorą wszyscy uczniowie najwyższych klas gimnazjów rolniczych, powiatowych szkół rolniczych oraz obu klas liceów rolniczych. Wypełnienie ankiety przez wszystkich uczniów wymienionych klas zostało w wyniku porozumienia z Redakcją „Wsi” zlecone Dyrekcjom Szkół Rolniczych przez Dyrektora Departamentu oświaty Rolniczej w Ministerstwie Rolnictwa i Ref. Roln. ob. Mieczysława Wysockiego.

Grupa druga:

II. Udział w niej biorą wszyscy zainteresowani Szkołami Rolniczymi. W szczególności cenne dla nas byłyby wypowiedzi starszego pokolenia, które pa-

mięta jeszcze pierwsze Szkoły Rolnicze w Galicji, w Wielkopolsce i „zaraniarskie” w Kongresówce. Obserwowało ono później szkolnictwo w latach międzywojennych i może porównać te dwa okresy.

III. Dla lepszego opracowania odpowiedzi na ankietę prosimy Panów Profesorów Szkół Rolniczych o zebranie odpowiedzi w 2-ch ratach. Pierwsza na punkt I i II, druga na p. III. Ich również lub samorząd klasowy prosimy o zbiorowe i łączne wysłanie odpowiedzi ze szkoły. Odpowiedzi mogą być krótkie lub dłuższe, nie powinny jednak pominać żadnego pytania.

IV. Nagród głównych jest cztery, przy czym dwie

pierwsze i czwartą zdobywają ci uczestnicy, których najciekawsze odpowiedzi dotyczyć będą p. III, i p. IV. Druga nagroda zastrzeżona jest dla najciekawszych odpowiedzi na p. I i II.

V. Wynik ankiety oraz nagrodzone i wyróżnione odpowiedzi zostaną ogłoszone na łamach tygodnika „Wieś”. Cały zaś materiał przekazany Instytutowi Socjologicznemu w Łodzi, znajdującemu się pod kierownictwem prof. J. Chałasińskiego.

VI. Termin nadsyłania odpowiedzi na ankietę upływa z dniem 15 maja 1947 r. Kierować odpowiedzi należy na adres: Redakcja Tygodnika Literacko-Społecznego „Wieś”, Łódź, ul. Piotrkowska 96.

A N K I E T A

Nazwisko, imię, adres zamieszkania, data urodzenia.

I. Wieś rodzinna:

1) a) oddalenie od miast, b) drogi — komunikacja, c) gleba, d) przeciętny sposób gospodarowania na roli, odchylenia ku uwstecznienu i postępowi (w czym, kto, dlaczego), e) instytucje gospodarze, kulturalne (szkoły, jakiego rodzaju, świetlice, ośrodki zdrowia), ośrodki przemysłowe — w promieniu wsi, gminy?

2) a) grupy gospodarze i zawodowe w % (bezrolni, folwarczni, małorolni, średniacy, wielkorolni, rzemieślnicy, inteligencja miejscowa, przy była, jakich zawodów?), b) ich znaczenie społeczne na wsi? Która, kiedy i w czym największą gra rolę?

3) a) liczebność twojej rodziny? b) warunki materialne? (jaka grupa?), c) warunki kształcenia się (jakie przeszedłeś szkoły, zawody i prace?).

4) a) Jakie osoby (ojciec, nauczyciel, kolega starszy) wywarły na tobie silniejszy wpływ i jaki?, b) jakie instytucje i organizacje (dom, szkoła powszechna, kościół, Koło młodzież., fabryka, spółdzielnia, partyzantka itd.) i w czym się on wyraża?

5) Jaka była ilość we wsi młodzieży mniejwięcej rówieśnej? Jakie było jej współżycie? (kawalerka, koła, świetlice, teatr ludowy, zabawy, czytania i dyskusje...). Jak ty i z kim współżyłeś? Jakie pamiętasz z tego okresu najsilniej wydarzenie? Jaka książka najbardziej cię poruszała i dlaczego? Ilu kolegów i koleżanek uczyło się czy uczy powyżej szkoły powszechnej?

II. Okres okupacji:

1) Jak przeżyłeś te lata? a) w pracy

na gospodarce rodziców, w zawodzie, na miejscu? b) uczyłeś się — czego, gdzie, w jakich warunkach? c) byłeś wywieziony do Niemiec, aresztowany — czego się tam nauczyłeś, jakie są twoje wrażenia i wnioski? d) byłeś w partyzantce?

III. W szkole rolniczej:

1) a) dlaczego wstąpiłeś do gimnazjum rolniczego? (szkoły rolnicze), b) jaki przedmiot najbardziej cię interesuje? c) jaki rodzaj praktycznych ćwiczeń? d) jaka książka z zakresu rolnictwa najbardziej cię zaciekała? A jaka z innego zakresu? Jakie czytasz pisma rolnicze?

2) a) czy absolwent gimnazjum lub liceum rolniczego winien wrócić na własne gospodarstwo czy pójść na pracę o szerszej doniosłości społecznej? b) jakie prace otwierają się dla was (na ośrodkach państw., resztówkach, gminni, powiatowi agronomowie, Izby Rolnicze, Zw. S. Ch., przemysł rolny, spółdzielnie), c) czy jesteście za gospodarką planową i rejonizacją? Jaka twoim zdaniem winien odegrać rolę absolwent w planowej gospodarce rolnej?

3) a) W oparciu o wiedzę jaką nabyłeś w gimnazjum rolniczym, jakie widzisz błędy na swojej wsi w uprawie rolnej (w jakich zakresach)? — jakich dziedzin nie ma (hodowle czego?, warzywnictwo, sadownictwo itd.)? b) w technice i rodzaju narzędzi czego brak? c) w organizacji pracy (specjalizacja, spółdzielnia sprzedaży wspólnej, przemysł przetwórczy).

4) a) jakie zmiany i nowe urządzenia wprowadziłbyś na swojej wsi? W jakim zakresie? b) czy dadzą się one przeprowadzić bez równoczesnych przemian i w innych wio-

skach? c) w jakim stopniu zależą one od czynników wyższego rzędu (w gminie np. Spółdz. Zw. S. Chł., ośrodek przemysłu przetwórczego, stacja maszynowa, w powiecie: Izba Rolnicza, Zarząd Zw. S. Chł., urzędy melioracji, drogowe, plan rejonizacji itd.), d) czy inne czynniki nie będą w tej akcji przemysłowo-rolniczej potrzebne — jakie i jak? (szkoły powszechne, świetlice, koła młodzieżowe, uniwersytety ludowe, czytelnictwo, inne zawody — inżynierowie, technicy, lekarze, działacze społeczni?)

5) Podaj konkretny, doraźny plan, możliwej do przeprowadzenia (w zakresie rolniczym) zmiany na twojej wsi, licząc się z obecnymi warunkami i siłami ludzkimi, jakie na niej się znajdują (z innych zawodów i przedsiębiorstw), a nie licząc jeszcze na zmiany w szerszych kręgach terenowych (gmina, powiat) i w wyższych ośrodkach dyspozycyjnych planu gospodarczego.

6) a) Z ludźmi jakich zawodów uważasz za potrzebne i konieczne pracować jako rolnik-społecznik? b) Jakże zatem rodzaje wiedzy winny być również przez młodzież wiejską zdobyte, aby podniosła się wydajność i opłacalność rolnictwa?

IV.

1) Jaką Szkołę Rolniczą znacie z dawnych lat?

2) Czy byliście w Szkole Rolniczej — jaki był jej program wówczas?

3) Jakże wówczas były inne instytucje na wsi czy w okolicy? (dwór, plebania, gmina itd.). Jak oddziaływały na wieś? A jakich wtedy nie było?

4) Jaki był stosunek wsi i innych instytucji do ówczesnych Szkół Rolniczych?

5) Kto wykładał w Szkołach Rolniczych? Z kim się nauczyciele wiązali, bardziej z chłopami, czy z gminą, dworem, szkołą, plebanią?

6) Kto uczył się w Szkole Rolniczej? Bogatsi, czy biedniejsi synowie chłopscy? (Jaki stosunek procentowy?)

7) Jak wyglądała gospodarka rolna, handel płodami, stopa życiowa na wsi w okresie powstawania Szkół Rolniczych w okolicy?

8) Jaki był wpływ Szkół Rolniczych bezpośrednio na okolicę, jaki jej wychowanków?

9) Jakże nowe czynniki — zmiany polityczne, społeczne, nowe na wsi instytucje, większą ilość kształcącej się młodzieży wiejskiej, reemigracja itp. — wpływały na większe uznanie Szkół Rolniczych i podnoszenie gospodarki na wsi?

10) Jakże obserwowaliście na przestrzeni wielu lat zmiany w Szkołach Rolniczych, w umiejętnościach wychowanków, w sposobie produkcji rolnej chłopów? Jak się one zbiegały, dopełniały i uzależniały?

11) Jakbyście określili różnicę między dawnymi (pierwszymi) Szkołami Rolniczymi, a tymi z lat międzywojennych (ostatnich)? Co na to wpłynęło?

12) Jakże są Wasze z długoletnich obserwacji wnioski i propozycje w odniesieniu do Szkół Rolniczych i ich rozwoju?

Odpisywać należy bez powtarzania pytań, zamiast nich stawiając odpowiednią numerację np. II a itd.

Pierwsza grupa uczestników konkursu odpowiada na I, II i III punkt ankiety.

Druga grupa — zasadniczo tylko na IV punkt ankiety.

„S P O Ł E M”

Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. w Warszawie

WYDZIAŁ ROLNICZY w Łodzi

dostarcza Spółdzielniom Rolniczym za pośrednictwem 16 Placówek okręgowych w ramach akcji

„Przemysł dla wsi”

o r a z w o b r a t a c h w o l n o r y n k o w y c h :

zelazo

galanterię żelazną

odlewy żeliwne

maszyny i narzędzia rolnicze

rowery

nawozy sztuczne

materiały pędne i smary

materiały budowlane

różne opakowania

środki ochrony roślin.

Wszelkich informacji w sprawie z a k u p ó w udzielają Okręgowe Oddziały Rolnicze w miastach wojewódzkich

PISARZE W CZASIE ŚWIĄT

„JANOSIK” ST. NĘDZY-KUBIŃCA
(od dwóch lat wydawany)

WIELKIEJ NOCY

BOHATEROWIE „OBERKA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO”
I. OZGI-MICHALSKIEGO



rys. St. Fijałkowski

NĘDZA KUBINIEC: Janosik, wiesz, amnestia jest. Ujawniły się już wreszcie w społeczeństwie!

JANOSIK: Myślisz, że to tak łatwo? Przez półtora roku „Czytelnik” nie pozwolił mi się ujawnić w społeczeństwie, a teraz nie pozwala wasz Oddział Wiejski Z. Z. L. P.



rys. St. Cieloch

Od redakcji: Józus! Jakiego ty w święta zatańczysz z nimi oberka?
WIELKANOC A. OLCHY W NAPRAWIE

„ŚWIĘCONE” JÓZEFA POGANA



rys. A. H.

Zarządzam w imieniu Związku Samopomocy Chłopskiej, w imieniu Redakcji „Wieś” i Kardynała Sapiehy, aby bogaci chłopcy przez całą Wielkanoc gościli wszystkich biedniejszych sąsiadów. A jak nie posłuchacie, to tak Was obmaluję w nowej powieści, że nawet stu tysięczny nakład wykupicie ze wstydu!

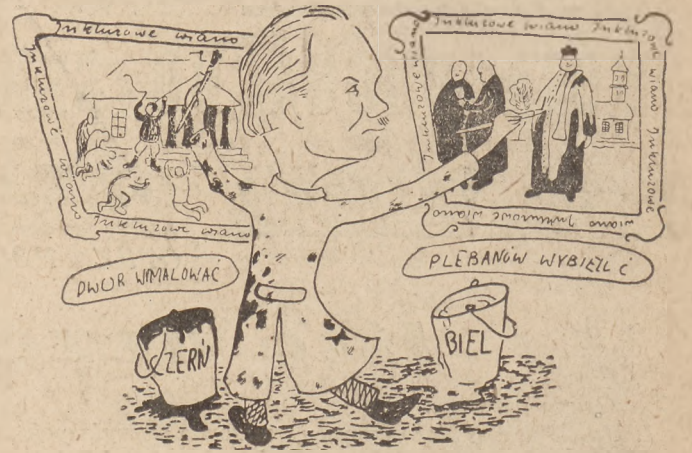
GDZIEŚ POETO URODZONY?



rys. A. H.

J. Andrzej Frasik w rodzinnej wsi po siódmym kielszku postanowił w nowym wydaniu swoich poezji zmienić tytuł. Brzmiał on bowiem: „Urodzony w żdźble”.

J. MORTON UWALNIA SIĘ OD „DOKTRYNY”



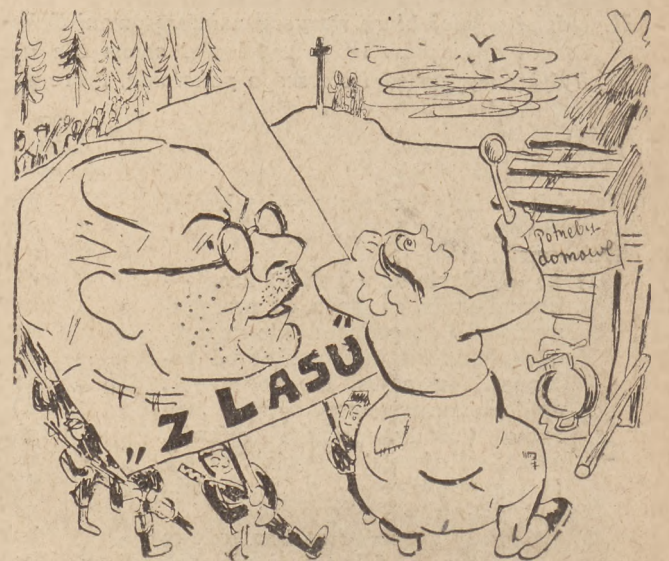
rys. A. Strumiłło

Dwa głosy krytyków — Pierwszy: Oczerniać księży można tylko pod wpływem „doktryny społecznej”.

Drugi: Powieść historyczna o wsi z końca w. XIX — a gdzie dwór?

Podobno Morton podczas Świąt poprawia „Inkluzowe wiano”, zgodnie z zaleceniami krytyków. Ale czy go to uwolni od „doktryny społecznej?”

„TATA NIE WRACA”...

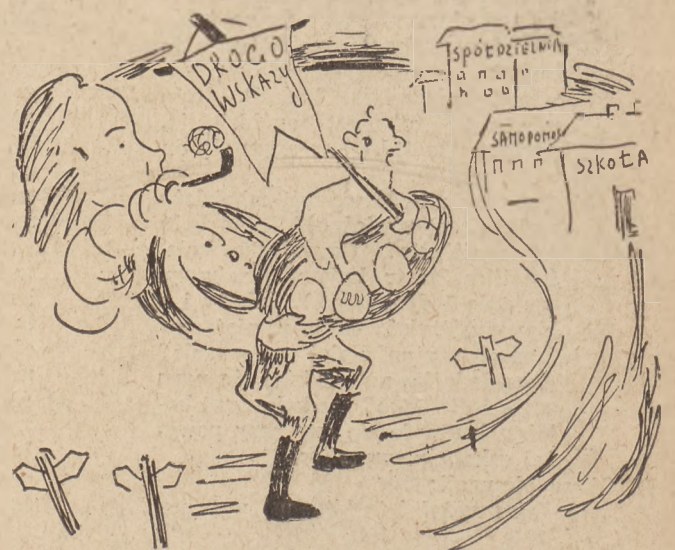


rys. A. H.

Zorientowani mówią, że chłopcy z lasu ujawnili się nie na skutek amnestii ale pod wpływem tomiku wierszy pt. „Z lasu” pułkownika partyzantki (z czasów okupacji) Stanisława Skonecznego. Sam jednak pułkownik, choć z lasu wyszedł przed dwoma laty w domu na dobre jeszcze nie osiadł. „Pójdźcie o dziatki, pójdźcie wszystkie razem!”

P. S. Od Redakcji — „Stasiu, gdzie spędzasz święta?”

„DROGOWSKAZY NA MANOWCACH KULTURY LUDOWEJ”



rys. A. H.

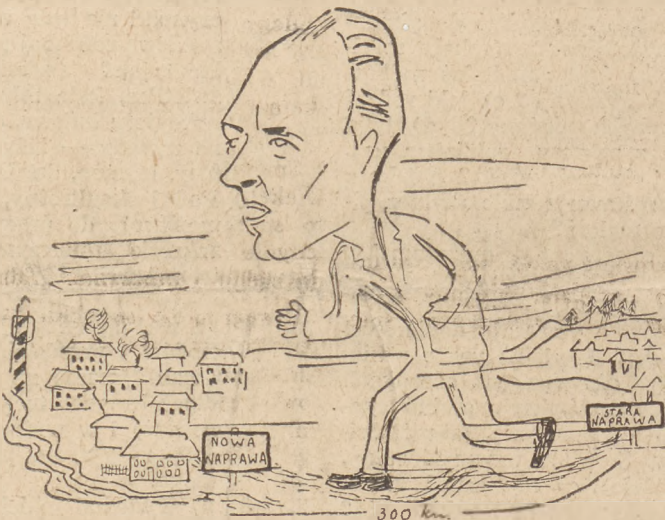
Ideologiczna Wielkanoc naczelnego redaktora „Wsi”.

PRYWATNA WIELKANOC J. A. KRÓLA



rys. A. H.

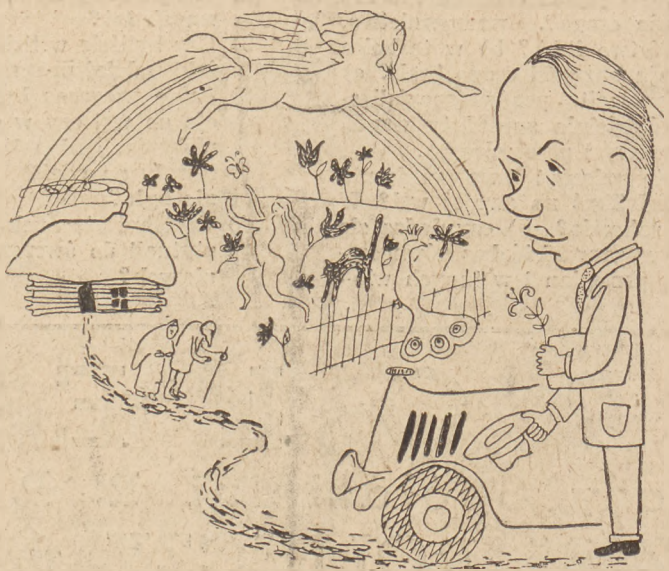
Ten jest chłopem, kto całe życie siedzi na wsi.



rys. A. H.

Zrobiłem za mało postępową reformę rolną. W przyszłe Święta Stara Naprawa musi być już tam, gdzie Nowa, któż to widział parcelować wies na tak odległe kolonie. Zresztą na tym postępie zyskam nową książkę. Mam już tytuł: „Nowa naprawa starej naprawy”.

ST. PIĘTAK W WIELOWSI



rys. A. Strumiłło

„Gdy wracałem, wydała mi się jak ze snu”.
(z „Poematu Barbarzyńskiego”)

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96 tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.
Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tygodn. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 100-98.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2. D—015508